№ 31—32 25 SIERPNIA 1928

TREŚĆ:

CENA 50 GROSZY

PRZEŁOM

TYGODNIK · POLITYCZNY · ROK III.

ŚWIĘTO BUDUJĄCEJ RADOŚCI

Tylko ten, kto był w dniu 12 sierpnia r. b. w Wilnie na Zjeździe Legjonistów, może nietylko zrozumieć, ale i dobrze odczuć co to znaczy: **święto budującej radości!**

Już w pociągach wiozących zjazdowiczów, czuło się, że ludziska czemprędzej pozapominali o troskach ,które ich trapią, i instynktownie i całą duszą radują się, że będą brać udział w tem święcie radości. Nie można tego opisać, to trzeba zobaczyć, jak się to wielkie, młode radosne bractwo legjonowe witało na dworcach czy w pociągach. Nawoływaniom po imieniu, serdecznym, iście braterskim uściśnieniom, a potem tym nieustannym wspominkom towarzyszy broni — nie było końca. Wesele bijące z tych uradowanych serc, zarażało wszystkich, którzy mieli szczęście zetknąć się z tym bezprzykładnym, zdrowym jak woda źródlana weselem.

Mundur żołnierski, bluza robotnicza, guńka góralska, garnitur inteligenta — wszystko to tak pomieszane radością, że, gdy się o tym zjeździe już dziś wspomina, to nie myśli się o kimś czy o czemś, lecz o tej nawskroś realnej, jednolitej, jednem życiem żyjącej zbiorowości. zjednanej u boku ukochanego Wodza..

Ten Zjazd był jakgdyby żywą ilustracją do słów Komendanta, któremi tak niezwykle trafnie określił Zjazdy Legjonowe, jako bezpośredniością swoją, aż dziecinne, rozgłośne i niefrasobliwe sympatycznym krzykiem i hałasem, wzruszające zdrowiem humoru, a jednocześnie pełne sentymentu od uczucia radujących się tem, że idą „po drodze pewności odrodzenia, w odrodzenie wierząc i o odrodzeniu myśląc".

Dopiero na tle tego Zjazdu można dokładnie zrozumieć całą bezsensowność tych niepokojów, któremi przepełniona była prasa zagraniczna i krajowa, w związku z mającym się odbyć Zjazdem Wileńskim.

Ani marszu na Kowno nie było, ani Józef Piłsudski nie został królem, czy wielkim księciem litewskim. I mimo, że to, co się stało w Wilnie było tak proste, że aż swoją prostotą zadziwiające, **VII Zjazd Legjonistów w Wilnie jest jednak doniosłem wydarzeniem politycznem.**

Przedewszystkiem zdecydowaną postawą w dwóch najważniejszych sprawach polskich: w sprawie Wilna, której bezsprzeczność tak wyraziście została podkreślona, że chyba raz wreszcie zakończy wszelkie głupkowate dyskusje na temat jego przynależności do Polski, tem znaczniejszą, że spontanicznie i wielokrotnie zaznaczoną wobec najpoważniejszych dziennikarzy litewskich przybyłych z Kowna, oraz w sprawie zmiany ustroju, która „państwu zapewni spiżową moc, a wiekopomne dzieło Marszałka Piłsudskiego po wszystkie czasy utrwali"

Mniejsze jednak może znaczenie ma to, że te sprawy znalazły takie a nie inne rozstrzygnięcie, boć przecież w tym zespole nie można się było czegoś innego spodziewać, ale w o wiele większym stopniu znaczenie tych symbolicznych ślubowań uwydatnia się w tym bezgranicznym entuzjaźmie, jaki dla tych właśnie spraw samorzutnie został przez Zjazd wywołany, i tej niemal nadnaturalnej żywiołowości i wiary w zwycięstwo, które wydobyte zostały z serc uczestników Zjazdu pięknemi, chyba jednemi z najpiękniejszych, słowami Komendanta.

Trzeba było widzieć ten kontrast między pewnem zakłopotaniem z nieoczekiwanego, malującego się na twarzach słuchaczy, gdy Marszałek zapowiedział, że będzie mówił o... lingwistyce, a — następnie — tem bezsłownem, głębokiem wpatrzeniem się w postać Komendanta w siwej bez odznak bluzie Brygadjera i wsłuchanie się w Jego piękne treścią i formą słowa, aby zrozumieć czem były i czem się one stały dla uczestników Zjazdu, dla tej kochającej Go bez granic wiary legjonowej. Zamierały serca chwilami a w krzykach, które z piersi tysięcy się wyrywały, czuć było niezłomne postanowienie budowania z Nim „mocarnej Polski", jak się Rydz-Śmigły wyraził w swojem przemówieniu na Akademji.

Zjazd Wileński osiągnął to, co było najważniesze: dał zasadnicze wytyczne dla ich urzeczywistnienia. Dlatego właśnie był wielkiem świętem budującej radości.

Stanisław J. Paprocki

Warszawa, 14 sierpnia 1928 r.

MOWA KOMENDANTA

„Szanowne Panie i Kochani Koledzy!

Gdy w Wilnie mam mówić, nie chcę w swej mowie ni zgrzytów, ni goryczy. Małym chłopcem biegałem tu po ulicach. Tu chodziłem do szkoły. Tu uczyłem się przywiązywać, uczyłem myśleć i uczyłem kochać.

Gdy więc w Wilnie mówię, nie szukam goryczy, nie wołam zgrzytów.

Gdy namyślałem się nad tematem mowy swej, szukałem zwykłych, najzwyklejszych. Znalazłem jeden, być może nieudolny, lecz o nim mówić będę. Będę mówił o lingwistyce.

W klasycznej szkole tu się uczyłem, lecz w lingwistyce nigdym nie był mocny. Przeciwnie, odczuwałem dość wielki wstręt do języków. Lecz w przebiegu mego żywota siedziałem w tylu więzieniach i tyle lat życia swego w samotności spędziłem, żem poczuł pociąg do zastanawiania się nad słowami i nad pojęciami, które te słowa oznaczają. Będę mówił o jednem słowie, tak, jak nieraz w samotności nad niem myślałem. Słowo to brzmi: „miły".

Na inne języki ledwo daje się ono tłómaczyć. Słowo „miły" synonimowo nie da się oznaczyć. Jeżeli weźmiemy słowa przybliżone, jakiemi są: „piękny", „ładny", — to „miły" niekiedy jest przeciwstawne temu co piękne, temu co ładne. Mówimy: „miły wyraz twarzy", „miły uśmiech", „miłe przeżycia". Lecz pojęcia piękna w tem nie ma. Miła rzecz nie jest piękna.

Inna prawda duszę przykuwa. Inna myśl przyciąga. „Miły", gdy dobrze pomyśleć, jest miłym i basta. Nie znajdziemy żadnego odpowiednika, dla tego słowa. Jest w niem czar i urok. Urok i czar, silniejszy nad moce i piękniejszy nad moce i piękniejszy nad piękno. Gdy myślę o pojęciu „miły", sądzę, że najłatwiej je wytłómaczę, miłe przeżycia przywołując, gdy zacznę tłómaczyć słowo „miłe" tem, co dla ludzi wszystkich jest miłe.

Pierwszym przykładem, są prawa matczyne. Ileż to dzieci próbowałem przekonać, że matka ich jest brzydka. Pomimo, że była nieładna, każde dziecko zacięcie się broniło. Nie spotkałem dziecka, któreby się zgodziło, że matka jest brzydka. I gdy nie mogło wykrztusić słowa „piękna", odrazu zgadzało się, że matka jest miła. Matczyne łono, matczyne pieszczoty, z serca wybiegające. Gdy dziecko w trwodze się budzi, pierwsze widzi nad sobą spojrzenie matki schylonej, by pieszczotą gładzić dziecko, by je uspokoić. Gdy dziecko silniej zaszlocha, matka jest przy niem, by je uspokoić, ku sobie przywiązać i szloch w piersi stłumić. I ileż miłych wspomnień jeszcze.

Przejdę do drugiego przeżycia, tak ciężkiego u nas, co dziećmi nie jesteśmy. Każdy z nas przeżywał okresy, gdy był złamany, gdy pierś ciężko oddychała, a poranek budził go pełnego uczucia ciężaru. Każdy to przeżywał, a gdy w ciężkich prawdach przeżycia, zgryzotę dusi pieszczota, przywraca oddech piersiom i zmarszczki na czole wygładza, gdy człowiek znajduje pomoc, by nie stać się zmarniałą, niezdatną do życia szmatką, to przeżycia takie są miłe i pozostają w pamięci, nie znikają.

Jeszcze jedna, może najbardziej jaskrawa, prawda miłego. Jest nią dziecko. Nad głową stoi czas, nad duszą świszczy bat, człowiek musi mocować się z sobą, aby wytrzymać, i wtedy ramie małego dziecka, dziecka bezsilnego, co myśleć nie umie, lecz czarownie się uśmiecha, i pieści jak jedwab, — wygładza zmarszczki na czole i troski zwalczać każe. Bezsilność dziecka jest jego potęgą. Niewprawny język, niewprawne członki ciała, nosek jak kartofel, czoło łysawe, — ani to piękno, ani siła. Patrzcie! — dziecko słabe, ledwo słowo wymówi, a w domu to słabe słowo powtarzają. Język dziecka staje się językiem dorosłych. Dziecko tworzy nowe słowa, które pozostają wpamięci ludzi wieki całe. Bezsilność połączona z siłą, brzydota z pięknem, — to jest miłe, to czar, — to urok, co serca zniewala i mocno ku sobie pociąga. Jeżeli nie wszyscy panowie tak z dziećmi obcują, jak ja, to jednak dobra połowa ludzkości, matki, z dziećmi mające do czynienia, ma te przeżycia „miłego" tak silne, że niesie je aż do grobu.

Gdym myślał Panowie, o słowie „miłe" i o wszystkich uczuciach, które sobie skłaniają, zawsze przypuszczałem, że człowiek, gdy do grobu idzie, poduszkę do trumny ze wszystkich swoich miłych przeżyć uplata, ta, by strudzonej głowie szeptała o tem, co było miłe. We wszystkiem ziajdziemy jedną wielką prawdę o sile, prawdę pieszczoty, co pieściwie dzieła tworzy, zmarszczki wygładza, daje młodość nową i przeżycia tak silne i trwałe, że wszystkie inne zgładza, a z „miłemi" idzie człowiek do grobu.

Kochani Koledzy! Gdy myślę o wszelkich zjazdach, którem widział, przeżywał i porównywał, zawsze znajdowałem jedną wielką prawdę, że zjazdy nasze są bardziej od innych dziecinne. Gdy Wy, Panowie, się zbierzecie, to najczęściej udajecie dzieci. Gdy się znajdziecie w jakiem mieście, mury pękają od waszych krzyków i hałasów. Święto — musowe dla innych — z sobą niesiecie, święto, które macie w duszy, gdy się spotkacie. Bezwiednie ku sobie idą ręce, bezwiednie z uśmiechem uśmiech się spotyka. Bezwiednie uściskiem się łączą dłonie i usta. Niechętni ku sobie ludzie zapominają o niechęci. I miasto, które swym zjazdem zaszczyczacie, musi mieć święto, gdyż zmuszacie je świętować. Noc zmienia się na dzień. Dzień zmienia się w jakieś okrzyki i hałasy ludzi, którzy znajdą w sobie powagę życia gdzieindziej, lecz nie na naszych zjazdach. I gdym się, Panowie, zastanawiał: dlaczego te nasze zjazdy do innych zjazdów nie są podobne, dlaczego w nich tyle szczerości i tyle jakiegoś odmłodzenia i dziecinady, — szukałem długo i badałem, nie chcąc pozwolić unieść się moim uczuciom subjektywnym wrażeniom lub subjektywnym sądom.

Moi Panowie. Gdy palec Boży ziemi dotyka, stuletnie dęby ku ziemi gną szyję, a gdy grzmoty i błyskawice po ziemi idą, ptaszyny i ludzie chowają się do schronisk i domów. Gdy palec Boży ziemi dotyka, gdy idzie taka wielka wojna, jaką myśmy przeżyli, to ziemia jęczy i woła, a gdzieś w niebie wysoko piszą się wyroki: dla jednych zatracenie, dla innych odrodzenie. I gdy idą czasy tak wielkie, że świat na inny zmieniają, to, proszę Panów, czasy te nie są na miarę tchórzyków, na miarę łotrzyków.

Moi panowie! Gdyśmy ongiś szli w pole, gdy byliśmy garstką, różniliśmy się od wszystkich otaczających nas żołnierzy tem i niczem innem, jak że pierś bujnie czuła i śpiewała huczną pieśń odrodzenia naszej ziemi. I gdy teraz po tylu latach się spotykacie, to pieśń tę, którą ongiś śpiewały piersi, dotąd czujecie, bo odrodzenie i wiosna to jedno, a gdy wiosna na ziemię idzie, suche wierzby kwitną i zwierzę każde i każdy człowiek pierś ma rozszerzoną.

Gdy idzie odrodzenie, wszystkie fibry duszy, wszystkie fibry ciała inaczej biją, inaczej śpiewają. I gdyśmy ongiś szli po naszej ziemi w bojach, gdy smutek panował na tej naszej ziemi, — myśmy szli do boju, jak do tańca na równych posadzkach, myśmy szli po drodze pewności odrodzenia, w odrodzenie wierząc i o odrodzeniu myśląc. Większość z was, panowie, młoda wówczas była, nie miała tłuszczu na różnych częściach ciała, nie miała siwizny na skroniach i z młodą duszą szła naprzód. I teraz, gdy o was myślę, gdy dzieje wasze badam, zawsze przypominam sobie wierszyk Słowackiego: „Młodość miał bardzo piękną, niespokojną, ach, tylko taką młodość nazwać piękną, która wzburzy pierś jeszcze niezbrojna od której nerwy w człowieku nie zmiękną, ale się staną, niby harfą strojną; dopóki piersi z zapału nie pękną, przez całą młodość legjonista bujnie za trzech ludzi czuł, więc żył potrójnie".

Naturalnie, strawestowałem tu trochę Słowackiego, gdyż legjonistów on nie znał (oklaski).

Gdy w Wilnie mówię, zgrzytów nie wołam, goryczy nie proszę i na pamięć sobie przywołuję te moje z Wami przyżycia, których miłą wiązankę mam w pamięci. I nie badam, lecz poprostu wspominam to, co miłe, wspominam to, co było mi pieszczotą.

Wśród kilku wiosen, któreśmy razem przeżyli, pamiętam jedną, co bojem silnym pod Kośtiuchnówką była zakończona. Szła wiosna, wiosna poleska. Stałem wtedy na kwaterze, w zbudowanym dla mnie szałasie. Szałasem go nazwę, gdyż dach miał papierem, tekturą i słomą pokryty, a cały domek z desek się składał. Dla elegancji wprawiono nawet szyby. I tych szyb w moim pokoju było kilka. Otwarto wszystkie okna i przez okna wiosna się wdzierała, wiosna poleska, jakże odmienna od innych wiosen na świecie. Upojny, silny zapach sosen z upojnym zapachem bagien poleskich, siwym mchem pokrytych, kwitnących i jaśniejących wiosną. Upojny las poważnie szumiał. Gdzieś kaczory tęsknie nawoływały kaczki, gdzieś na reducie Piłsudskiego strzały brzmiały, wrywając się w wonną wiosnę i wiosnę głusząc.

Wiosna szła na mnie, tak jak na ludzi idzie. Wspominałem wszystkie wiosny, które przeżywałem, jedną za drugą. Wiosna w nerwy mi wchodziła. Maj uroczy, z całem nowem ciepłem i nowem życiem w przyrodę wchodzący. Gdzieś przez okno wdzierała się pogwarka daleka, wesoł e okrzyki mego sztabu, który pod wieczór zbierał się na anegdoty. Byłem sam w pokoju i zwyczajem swoim namiętnie chodziłem po pokoju. Mierzyłem krokami swą małą chatkę.

Raz po raz, chwila za chwilą, minuta za minutą, godzina za godziną. Zapominałem się pod wp.ywem wiosny i pierś zachciała odetchnąć głęboko, odetchnąć w przestrzeni, głębiej odczuwać wiosny życie. Wyszedłem. Księżyc srebrzysty kładł w lesie swe cienie wesołe i smutne. Obejrzałem się dokoła i nagle szloch człowieka usłyszałem. Zwróciłem oczy w tamtą stronę. Księżyc błyskał na karabinie mojej warty. Spojrzałem, — szary żołnierzyk, oparty na płocie, płakał. Wstyd mi się zrobiło. Podszedłem ku niemu spytać czemu płacze, — może mu pomóc potrafię. Miłe chłopię, oparte piersią na płocie, w ręku trzymało karabin i szlochało. Podniosłem jego twarz i ujrzałem twarz małego chłopca, dziecinną. Stał na warcie i płakał jak dziecko: łzy mu z oczu się lały jak dziecku. Twarz młodociana i karabin przy nim. Pierś rozrywał mu szloch, tak jak rozrywa szloch pierś mężczyzny. Pogładziłem go po twarzy i spytałem: co ci jest chłopcze?

Myślałem: może mu w rodzinie ktoś umarł, może biedak płacze po objęciach zdradliwej kochanki, może urlopu ci trzeba — dam ci urlop. Przylgnął ustami do mej ręki szlochał jeszcze silniej. Uspakajałem go, jak mogłem.

— Komendancie — ryczał chłopiec — ja nie mogę już patrzeć, jak Komendant się męczy i jak pomóc w niczem Komendantowi nie mogę. — I zaczął mówić takie brednie, takie niesłychane jakieś rzeczy o tem, jakby się zakradł do Komendanta, jakby chciał mu całą czekoladę rzucić pod nogi, bo Komendant tak ją lubi.

Nie umiałem go nawet pocieszyć. Cóż zrobić z takim malcem, który płacze, na warcie stojąc, na karabinie się opierając, i płacze nad męką Komendanta, chcąc mu coś z siebie ofiarować, coś dać poprostu człowiekowi, co się za niego męczy. Chłopak mi nieznany z twarzy. Jako chłopię małe stał zawsze w tylnych szeregach — drągali zawsze naprzód stawiali. I płakał nad wodza męką.

Biegnę do innego wspomnienia. Pamiętam dzień moich imienin we Lwowie, w r. 1916, po ciężkiej chorobie, której nabawiłem się na Polesiu. W teatrze szła wielka zabawa, jak zwykle deklamacje, bicie mi braw, krzyki: Niech żyje Piłsudski.

A potem zostałem zaproszony na obiad do komendy miasta. Jestem na tym obiedzie. Koło mnie przez grzeczność usadowiono oficerów austrjackich, którzy mówią po

polsku. Rozmawiamy przy czarnej kawie. Pewien major opowiada mi zdarzenie, które miał z żołnierzami Pierwszej Brygady. Szedłem po ulicy — mówi on — i widzę żołnierzy idących wczasie niedozwolonym, bo około godziny 10 wieczorem. Dwóch nieco się zataczających żołnierzy, którzy przechodząc nawet mnie szturchnęli. No, wie pan, Panie Brygadjerze, to są rzeczy zupełnie niedozwolone. Zatrzymałem ich. Patrzyli na mnie, lecz honorów nie oddali. Spytałem: co wy za żołnierze? My, z Pierwszej Brygady. Dobrze, z Pierwszej Brygady, ale zachowujecie się nie jak żołnierze, powiedziałem. Ja ich karcić nie chciałem. Ależ to z nimi wytrzymać nie można. My z Pierwszej Brygady, — powiedzieli, — a Pan był na froncie?

Biedny majorzyna, trochę mu się zimno zrobiło. Jeden z nich sięgnął do kieszeni, długo w niej dłubał i gdzieś z tyłu wyjął order Virtuti Militari, ale order austrjacki, tak tylko nazwany i powiedział: — masz. Potem, gdzieś z tyłu wyciągnął pruski order: — masz. Zawrócili i poszli.

Te ordery obce na tyłach noszono, a na piersiach dumne odznaki z memi literami, to jest moja brygada.

I znów pieszczoty, pieściwe dzieło, co sięgnąć może do sameło czoła, co dumne oczy przed śmiercią zapieści, zacałuje. Dumam sam i umiem chować moich żołnierzy i pracować nad nimi i w ojczyźnie, co duszy nie znała, dumni być potrafiliśmy. To wspomnienie zawsze mnie pieści: baciary lwowskie, na tyłach noszące obce ordery.

Jeszcze jedno wspomnienie. Brygada w owe czasy dostała Państwo, a ich Komendant dostał Naczelnika. W tym samym mundurze, w którym pośród innych chodziłem, reprezentowałem państwo polskie, przyjmując posłów z całego świata. Byłem Naczelnikiem i żywo sobie przypominam śmieszne określenie, które jeden z przybyłych z Rosji generałów patrząc na mnie mi nadał: „Ni to Kostiuszko, ni to korsykaniec". Był to czas, moi Panowie, dość zabawny, gdyby hymny obcych państw śpiewano bardziej ochoczo, niż polski. Był to czas, gdy Polska słynęła jako ubogi Kopciuszek. I wtedy, proszę Państwa, w Warszawie było jakieś święto, święto to ubierano, wedle mody warszawskiej, w jakieś śpiewy, muzyki, deklamacje i innego rodzaju artystyczne utwory. Słuchałem, siedząc na pierwszem miejscu. Dość się nudziłem i tęskno wyglądałem, gdy przerwa nastąpi. Nareszcie przyszła. Wstałem, aby obejrzeć lokal. Ochodząc go, zabłądziłem do bufetu. W bufecie było dość dużo ludzi. Obejrzałem się i podszedłem do bufetu. Podskoczyło do mnie kilku podoficerów.

— „A kolega, z którego pułku"? — pytam.

— „Z piątego. Kiedy Komendant do nas przyszedł, to my tu zaraz wstawimy. Dać wódki. My płacimy. Komendant nie płaci".

A dokoła attachés wojskowi obcych mocarstw z przerażeniem spoglądali na bratanie się Naczelnego Wodza z podoficerami. I szła wódeczność za likierem, likier za wódecznością. Ja mam głowę mocną, przepiję nawet podoficera (oklaski). Wydobyłem świeżo otrzymaną w prezencie od oficerów belwederskich papierośnicę.

— „Ho, ho, ho, to ci Komendant fajną papierośnicę wyfasował. A wie Komendant, że Komendant mnie papierosa dłużny"?

Zwracam dług. Wziął, obejrzał, powąchał. Dawniejsze austrjackie pewno były lepsze. Gdy tłum dokoła mnie stanął, dokoła Naczelnika Państwa, panowie podoficerowie rozporządzali się w bufecie, sięgając od kiełbas do tortów, od tortów do jakichś innych smakołyków. „My płacimy za Komendanta. Komendant nic tu nie płaci". Ogłosiwszy to, jeden z nich mówił: „A ja na Komendanta jestem obrażony". — „Dlaczego"?! „Bo widzę, że Komendant mnie nie poznaje". — „Nie poznaję istotnie".

— „ A do kogo to Komendant w Dynaburgu w szpitalu najpierw przyszedł"? Powiadam, że na sali w Dynaburgu, gdzie leżało mnóstwo chorych, mających palce u rąk i nóg odmrożone, spojrzałem i zobaczyłem odrazu roześmianą szeroko twarz. To mnie pociągnęło i podszedłem. — „A pamięta Komendant, co ja wtedy powiedziałem? Ja wiedziałem już zgóry, że Komendant zapomniał. Byłem ranny". — „Jakaż to rana"? — „W koalicję byłem ranny".—„Ja wiem, rana w „koalicję" bardzo szybko przechodzi".

Attachés wojskowi zapisywali dokładnie zdarzenie, jakie się wydarzyło w Wraszawie, w różnych językach na świat cały.

Wszystko było mi to bardzo miłe.

Niech Panowie pozwolą na ostatni miły fakt. Jeden z nabliższych, który przypominam. Gdym siedział w Magdeburgu, istotnie stał nad głową życia. Był to jak grób zamknięty. Izolowany byłem bardzo od świata i wtedy właśnie myślałem o miłem, co jak poduszka do trumny z człowiekiem idzie. Wilno, miasto moje rodzinne. Nieraz tam w Magdeburgu o Wilnie myślałem. Miłe miasto. Rzędem biegną mury, pagórki słoczone zielenią pieszczą mury. Mury tęsknie na pagórki spoglądają. Miłe miasto. Na który z pagórków wyjdziem, ku niebu przez mgłę oparów błyszczą do góry wieżyce, wieżyczki, a gdy dzwony na nich zadzwonią, niewiadomo, czy się skarżą, czy o łaskę proszą, czy tęskny tylko do nieba głos wznoszą. Miłe miasto. Miłe mury, co mnie dzieckiem niegdyś pieściły, co kochać wielkość prawdy uczyły. Miłe miasto z tylu, tylu przeżyciami. Miasto — symbol naszej wielkiej kultury i państwowej ongiś potęgi. Dynastja Jagiellonów, co nad wieżyczkami Krakowa i wieżami Wilna potężnie niegdyś panowała. Wilno Stefana Batorego, co uniwersytet zakładał i mieczem nowe granice wyrąbywał. Wielcy poeci i wieszcze, co naród pieścili słowem i w czar zakuwanemi słowami życie narodowi dawali. Nie gdzieindziej jak tu, w tej samej szkole, w tych murach, pięknie wołających do Boga uczyli się, jak ja kiedyś w przeklętej rosyjskiej szkole. Wszystko piękno w mej duszy przez Wilno pieszczone. Tu pierwsze słowa miłości, tu pierwsze słowa

mądrości, tu wszystko, czem dziecko i młodzieniec żył w pieszczocie z murami i w pieszczocie z pagórkami. Jedno z najpiękniejszych miast w świecie.

I biegły ku Wilnu pieszczotliwe myśli. Jedna z moich książek tam właśnie powstała w murach Magdeburga. Czar, zakuty we wspomnieniach, urok odrodzenia, rzucony w szale tam niegdyś. Wszystko to razem składało się na marzenia człowieka co nie wie, czy jutro do grobu się nie położy. (Głos: Tak jest, Panie Komendancie).

Minęło parę lat i byłem znowu w Wami i gdym marzył i myślał o Wilnie w warszawskim Belwederze zamknięty, myślałem także i o was. I gdym do boju wezwał, by Wilno zdobyć, was do siebie powołałem. Marzyłem, sądziłem, że dwa serca zbratane dadzą mi to, o czem dusza marzyła. Wilno musi być moje! (Długotrwałe oklaski). I jak wyście mi na to odpowiedzieli, żywo pamiętam tę chwilę. Wilno w owym czasie, gdy Polska ledwie żyć poczynała, gdy ze wszystkich stron żądano naszej ziemi i dłonie ku niej wyciągano, gdy bitwy toczyły się ze wszystkich stron Rzeczypospolitej i trwała wojna podczas gdy inne państwa już były spokojne, gdy działa u nas grzmiały, a tam spokoju już doznali, — Wilno dalekie było od myśli i od zakłopotania serca wszystkich. Wyście stanowili najpoważniejszego żołnierza, żołnierza, który mnie nigdy w wojnie nie zawiódł, który dał mi wszystko, co żołnierz wodzowi dać musi. Was powołałem.

Szła wielkanocna pora, gdy bataljon za bataljonem, szwadron za szwadronem do Wilna śpieszyli.

I szła pogwarka wśród wiary: „Komendant nasz Wilno kocha, na Wielkanoc Wilno w prezencie Mu damy". Prezent wspaniały. I gdy myślę, wieleście mi dali nie sądząc nawet o ważności Wilna dla nas, a tylko jako pre zent, jako pieszczotę dla serca Komendanta i gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie u wrót cmentarzy w mogiłce za mogiłką, leżą jeden przy drugim, jak żołnierze w szeregach, ci , co życie dali, by Komendanta serce pieścić, — to mówię, że miłem to być musi. Gdy serce swe grobem poję, serce swe tam na Rossie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami, co mogli tak pieścić dumnego Wodza czoło, co mogli tak życie dawać jedynie dla prezentu. Miłe musi być wspomnienie przeżyć w Legjonach, miłe wrażenie i teraz, gdy z Wami się żegnam, gdy kończę i kończąc w Wilnie życzę Wam, byście dzień dzisiejszy, dzień naszego święta, spędzili istotnie tak, jak było to niegdyś, byście miastu spokój zakłócili, by miasto zadrżało w waszych objęciach, jak drżało ongiś, gdyście tu wchodzili zwycięskim marszem.

REZOLUCJA ZJAZDU LEGJONISTÓW

„Siódmy Zjazd Legjonistów, zebrany w dniu 12 sierpnia w Wilnie, w dniu uroczystym dorocznym zwraca się do Ciebie Najdostojniejszy Panie Prezydencie, z wyrazami głębokiego hołdu i niezłomnej wierności w obliczu Pierwszego Żołnierza Polski i Wielkiego Narodu, Marszałka Józefa Piłsudskiego, w obliczu członków rządu, reprezentacji Sejmu i Senatu, armji, przedstawicieli władz i społeczeństwa, w murach tego prastarego grodu Jagiellonów a nieugiętej państwa ducha polskiego strażnicy. My, legjoniści, z wszystkich stron Rzplitej składamy na Twoje ręce, Panie Prezydencie, uroczyste ślubowanie.

1) Jako w dnie wojenne czynem orężnym torowaliśmy drogę do niepodległości, tak dziś zawsze gotowi do jej obrony, u Twego boku stajemy w tym wielkim wyścigu pracy pod najwyższym sztandarem idei państwowej budowy mocarstwowej potężnej Rzeczypospolitej.

2) W żarliwej trosce o niewzruszone fundamenty tej naszej Rzeczypospolitej dołożymy wszelkich starań i wysiłków, by pod Twoim, Panie Prezydencie, dostojnym przewodnictwem dokonała się taka zmiana ustroju, która państwu zapewni spiżową moc, a wiekopomne dzieło Marszałka Piłsudskiego po wszystkie czasy utrwali".

ZBYT WIELE NIEPEWNOŚCI

Gdy powstawał rząd Hermana Müllera, pomyślany jako gabinet fachowców, należących jednak do tych stronnictw, które mogłyby utworzyć w bliskiej przyszłości jawną koalicję stronnictw środka z socjalistami, mniemano w Niemczech, że rząd ten rozporządza bardzo wieloma atutami. Liczono przedewszystkiem na wielki efekt w krajach zachodnich i na skutki jakie musi przynieść polityce niemieckiej właściwe definitywne zerwanie z tradycją monarchistyczną. Rząd był antynacjonalistyczny w każdym razie. Nie wchodząc w bliższą ocenę tego zjawiska, łatwo zauważyć, że rząd w tym składzie przyszedł za późno, aby wywołać praktyczny efekt we Francji czy Anglji. Ostrze opozycji nacjonalistycznej było dostatecznie stępione przez wiele nieoficjalnych rokowań i nadziei czynionych nawet na wypadek urzędowania w Niemczech czysto nacjonalistycznego rządu. Przytem upieranie się nacjonalistów przy pewnych zewnętrznych oznakach upadłej od lat dziesięciu formy rządów pozbawiało ich tej powagi w egzekutywie politycznej, którą musi posiadać każdy wielki kierunek polityczny w kraju uświadomionym politycznie. Skazani na kompromis w praktycznem życiu politycznem udawali nieprzejednanych wobec wyborców, narażając się na śmieszność lub na zarzut nieszczerości, przytem wiadome było i jest, że mnóstwo republikanów tylko z musu i wyrozumowania godziło się od szeregu lat na tę formę rządu i wykazali więcej sprytu politycznego od swych kolegów ze stronnictwa niemiecko-narodowego. Rząd Hermana Müllera nie wywołał większego entuzjazmu, gdyż do gabinetu nie weszła żadna nowa znakomitość w kraju, a najbardziej z różnych względów interesująca teka ministra spraw zagranicznych pozostała w tych samych rękach, że na lewem skrzydle socjalistycznem rośnie ilość zwolenników kompromisu i kooeparcji z komunistami na terenie parlamentarnym, a tolerowanie niesłychanie wytężonej jakkolkolwiek cichej akcji agitacyjnej wśród mas robotniczych, wskazuje na to, że pomiędzy rządem niemieckim a rządem

sowieckim, istnieje jakieś porozumienie, w którego myśl rząd niemiecki na razie przynajmniej przeciw agitacji komunistycznej energicznie wystąpić nie może.

Najważniejszym wypadkiem interesującym całe Niemcy polityczne był obchód rocznicy urodzin Schuberta w Wiedniu przemieniony wskutek udziału kilku dziesiątków tysięcy „śpiewaków" z wszystkich krajów niemieckich na wielką manifestację za przyłączeniem Austrji do Niemiec. Nigdy może nie przemawiała w tych sprawach tak spokojnie prasa niemiecka: spokojnie dlatego, że poczyna uważać przyłączenie Austrji do Niemiec za zjawisko właściwie konieczne i łączące się organicznie z obecnym rozwojem sytuacji międzynarodowej. Była to właściwie manifestacja przygotowawcza, która swoją bezwzględnością zrobiła wielkie wrażenie we Francji, gdzie prasa upomniała się o należyte skorygowanie tych tendencyj w drodze dyplomatycznej; zrobiła także wrażenie w Anglji, gdzie aktywność Niemiec uważają za przedwczesną, aczkolwiek nastroje tam kierowane są innymi zamysłami, aniżeli we Francji. Gdyby nie wewnętrzne trudności w Jugosławji i Rumunji mała ententa niewątpliwie reagowałaby również bardzo silnie na te poczynania, bezpośrednio zagrażającym traktatom.

Dyplomacja niemiecka wytężyła natomiast siły, aby w momencie podpisania paktu Kelloga uzyskać nowe decyzje co do ewakuacji Nadrenji, jakkolwiek dotąd nie posunięto się poza wstępną wymianę zdań. Podkreślić przytem należy, że lewica niemiecka angażuje się przedewszystkiem w akcję za przedterminową ewakuacją Nadrenji, uważając za swój punkt honoru przeprowadzić w obliczu dość sceptycznej opinji we własnym kraju ten postulat bez żadnych rozbrojeniowych, czy jakichkolwiek innych zobowiązań Niemiec. Wytwarza się więc taka sytuacja, że Francja nie może podejmować rozmów w sprawie ewakuacji, gdyż stronnictwa popierające obecny rząd niemiecki, uważają „ewakuację bez warunków" za **conditio sine qua non.** Ten właśnie prezent chcą przynieść swym rodakom dla wykazania ja k silnemi są już wpływy demokracji niemieckiej, wpływy potęgujące wiarę zagranicy w pokojowość polityki niemieckiej.

Wobec Litwy i Waldemarasa, stanowisko Niemiec nacechowane jest w istocie rzeczy bardzo życzliwą neutralnością; obecny układ stosunków w Kownie bardzo odpowiada dyplomacji niemieckiej, jakkolwiek sfery finansowe uważają go za tak dalece niepewny, że rokowania handlowe i zabiegi o dalszą pomoc kredytową wywołują częste trudności i niepowodzenia dla Litwinów.

W polityce wewnętrznej minister Severing podjął kurs republikanizowania rządów, forsuje flagę republikańską, podtrzymując rządowym autorytetem organizacje republikańskie. Severing ma zamiary centralistyczne, unifikacyjne, inkorporacja drobnego państewka Waldeck stała się faktem dokonanym, trwają narady nad wcieleniem do Prus innych państewek, przyczem prócz względów oszczędnościowych odgrywają rolę także względy czysto polityczne. W Bawarji zostało wszystko po dawnemu, Heldt objął z powrotem prezesurę rządu, a sezon polityczny ożywiły tylko spory uniwersyteckie, gdyż uniwersytet monachijski począł się zaopatrywać w profesorów wyłącznie z kościelnego punktu widzenia, gdyż reprezentują ogólno-niemiecki a nie bawarski punkt widzenia.

Mieczysław Rettinger

EMIGRACJA POLSKA WE FRANCJI

Emigracja, to nietylko zło konieczne, to miara siły i potęgi państwa, to propaganda wartości swego narodu wśród obcych.

Obrona i opieka tej emigracji musi mieć nietylko sentyment, nietylko chęć utrzymania tradycyj rasowych. Musi ona być podyktowana wyraźnym rachunkiem, którego wartość mierzyć należy w skali lat całych pokoleń.

Z tego też punktu widzenia oceniać trzeba akcję oświatową, a w szczególności szkolną we Francji.

Emigracja polska przybyła do Francji z Westfalji i Nadrenji, została uzupełniona bezrobotnymi robotnikami, przybyłymi bezpośrednio z kraju. Jeżeli chodzi o liczby ,to kolonje polskie liczą od 1 do kilku względnie kilkunastu robotników w departamentach rolnych i od 50 do 18.000 (w okrągłych liczbach) w departamentach górniczych. Oczywiście bardziej ułatwiona jest praca szkolna w większych kolonjach.

Jeżeli chodzi o liczby dzieci w wieku szkolnym, to, według niedokładnych danych, dzieci tych jest około 44.000, z której to liczby, korzysta z nauki polskiego zaledwie 15.600, a razem z kursami dokształcającymi i ochronkami, liczba korzystających z nauki języka polskiego podniesie się najwyżej do 18.000. Pozostaje więc bez nauki polskiego około 26.000 dzieci w wieku szkolnym, a łącznie z dziećmi w wieku przedszkolnym, liczba pozbawionych nauki polskiego podniesie się do 35.000.

Ta olbrzymia masa przyszłych obywateli polskich, ten duży kapitał Państwa Polskiego wzrasta w cudzoziemskiem środowisku, nasiąka jego zwyczajami i z czasem staną się oni obcy duchowo, wobec kraju rodzinnego.

Jeżeli sprawy pójdą obecnym torem, to problem emigracji polskiej za lat kilkadziesiąt — a może już kilkanaście — nie przedstawia się zbyt świetnie. To sobie trzeba jasno powiedzieć.

Do należytego rozwoju szkolnictwa wogóle, potrzebne są głównie 3 czynniki: uświadomienie ludności, środki materjalne i dobre nauczycielstwo.

My, na obczyźnie musimy do tych czynników dodać jeszcze czynnik najbardziej podstawowy — dobrą konwencję, to jest układ specjalny, ustalający ramy zasadnicze w dziedzinie nauczania.

Choćbyśmy posiadali tutaj w dostatecznej mierze trzy pierwsze czynniki, to brak czwartego — sprowadza znaczenie pierwszych trzech niemal do zera.

Dlatego na pierwszem miejscu stawiam tutaj jako czynnik tamujący normalny rozwój nauczania polskiego, brak jakiegokolwiek układu w tej sprawie.

Jesteśmy przekonani, że dopóki sprawa układu szkolnego nie zostanie postawiona w płaszczyźnie dyplomatycznej, — dotąd sprawa nauczania polskiego załatwiona nie będzie.

Wczasie kierowania pierwszej fali emigracji do Francji, istniały odpowiednie warunki, by taki układ zawrzeć, jednakże zaniedbaliśmy tego uczynić i dziś musimy czekać odpo-

wiedniej okazji i odpowiedniej zmiany warunków.

Jeszcze raz to podkreślam z naciskiem, że tylko w drodze dyplomatycznej zawarty, może uregulować sprawę nauczania dzieci polskich języka ojczystego.

Przechodzę teraz do scharakteryzowania dalszych trzech postulatów, dobrego rozwoju akcji szkolnej.

Warunków, odnoszących się do środków materjalnych omawiać nie będę, zaznaczę tylko, że środki materjalne na cele oświatowe są bardzo skromne i nie zaspakajają istniejących potrzeb w tej dziedzinie.

Odnośnie uświadomienia ludności, trzeba to z całem uznaniem stwierdzić, iż istnieje ono w wybitnym stopniu. Temu właśnie uświadomieniu przedewszystkiem zawdzięczać należy, stan akcji oświatowej, jaki mamy obecnie. Jeżeli chodzi o pokolenie dzisiejsze, to z dumą trzeba powiedzieć, że zdaje sobie ono całkowicie sprawę z ciążących nań obowiązków i zadań.

Jednakże trzeba wyrazić obawę, czy w tej samej mierze będzie podatne do tej pracy pokolenie dorastające, a w szczególności pokolenie trzecie z kolei.

Pod tym względem, jeżeli nie przedsięweźmiemy wszystkich niezbędnych kroków, musimy się obawiać o przyszłość wychodźtwa.

Pierwszym warunkiem powodzenia tej pracy w przyszłości, pracy związanej z odrodzeniem emigracji, musi być spojenie narodową kulturą wszystkich warstw i grup działających na obczyźnie, przerzucenie pomiędzy niemi pomostu wzajemnej ufności, wpojenie w te grupy poczucia dziedzictwa narodowego i obowiązków względem kraju.

Bez zniszczenia tych śladów niewoli, tych różnic dzielnicowych, które tu jeszcze pokutują, nie może być mowy o intensywnej pracy nad utrzymaniem polskości wśród dzieci.

Choć te wysiłki winny być udziałem całego myślącego ogółu, to jednak najlepszemi placówkami w tym kierunku są niewątpliwie stanowiska nauczycielskie. Wewnętrzne duchowe zespolenie się z przeszłością i teraźniejszością narodu, żywe wyczuwanie polskiego życia, jego stron silnych i słabych, zrośnięcie się z narodową kulturą oraz poczucie dumy z nieśmiertelnego, pełnego szlachetnego porywów bogactwa, daje nauczycielstwu tę przewagę, tę wartość, która zapewnia mu w pracy powodzenie.

To jest ten ton, który nauczyciel musi uwydatnić w obcowaniu z młodzieżą, jak i dojrzałem pokoleniem, winien go wprowadzić i opanować nim całe życie szkolne, bez tej właśnie pracy, bez tego stosunku, nie można wyobrazić sobie żywej twórczej pracy nauczyciela na wychodźctwie.

Zdajemy sobie sprawę, że pracujemy w środowisku z natury twórczem, które nie mając dawniej pola do rozwoju swych zdolności w zakresie szerszym, organizowało wówczas własne życie gromadzkie, tworzyło obyczaje i formy i własnym rozumem szukało prawdy, a w tęsknocie za duchowem życiem, szukało prostą w środkach, lecz pełną bezsprzecznie głębokiego przywiązanie do kraju sztukę organizacji szkoły.

W ten sposób tworzyła się indywidualność duchowa środowiska, w której dużo jest cech zdrowych. Z drugiej strony do tegoż środowiska przybywa drugi świat pojęć indywidualnych, wytworzonych w odrębnych warunkach bytowania, którym tak samo należy się szacunek i uznanie. Te właśnie dwa, a właściwie trzy środowiska duchowe, trzy indywiualności duchowe różnemi warunkami urobione, w przeszłości, spotykają się tutaj na obczyźnie.

Nauczyciel, spotykając się na tym terenie, z nową, niejako stwarzającą się, indywidualnością, do starych przeszłości, musi się ustosunkować szczerze i głęboko demokratycznie. Demokratycznie nie z nazwy, a z istoty samej.

To było dotychczas podstawą główną u nauczycielstwa, jako pewnej masy zbiorowej. Pragnie ono wśród dzieci wyrobić głębokie uspołecznienie oraz kult pracy.

Po omówieniu wytycznych głównych tego szerokiego łożyska, jakim winna się toczyć praca nasza we Francji, przedstawić chciałbym jeszcze istotny stan rzeczy obecnie istniejący na emigracji, oraz omówić prace pomocnicze, jakie prowadzi Związek Polskiego Nauczycielstwa we Francji.

Wobecnym stanie sprawa nauczania dzieci polskich we Francji przedstawia się w sposób następujący.

Szkoły polskiej we Francji niema. Prasa i delegacje wiele zrobiły złego, głosząc społeczeństwu o konwencji szkolnej, o wyjeździe nauczycieli do szkół polskich, czy otwieraniu szkół polskich. Są to tylko frazesy, które usypiają społeczeństwo w kraju, wytwarzając o tym tak ważnym zagadnieniu fałszywe pojęcie. Trzeba to po tysiąc razy powtarzać, aż termin ten zostanie wykreślony z naszej psychiki, bo nie odpowiada on istocie rzeczy.

Istnieje we Francji dodatkowe nauczanie języka polskiego, a nie szkoła polska. Organizacja tego nauczania opiera się na prywatnym liście przedstawiciela Związku kopalń do p. Sokala.

List p. Peyerinhofa, krótki i grzeczny w formie, zawiera jedno pozytywnie o ostrożnie sformułowane zdanie, stwierdzające, że na każde 65 dzieci polskich w wieku szkolnym, będzie mógł być zaangażowany nauczyciel polski, o ile warunki kopalni na to pozwolą.

Ten to dokument słabej wartości prawnej, a prawie żadnej faktycznej, do dzisiejszego dnia jest podstawą, na której opiera się organizacja nauczania polskiego. Związek Polskiego Nauczycielstwa we Francji po zorjentowaniu się w sytuacji i trudnościach w organizowaniu nauki, postawił na zjazdach następujące postulaty:

a) Podjęcie organizacji ochron wśród wychodźtwa.
b) Stworzenie organizacji oddziałów polskich, biorąc za podstawę wiadomości dzieci w języku polskim, a nie francuskim;
c) Zorganizowanie akcji oświatowej postawionej na szeroką skallę (kursy, bibljoteki, pisma oświatowe, pisemko dla dzieci i poradnie oświatowe).

Akcja propagandowa prowadzona w ciągu dwóch lat o spełnianie tych postulatów, doprowadziła do częściowej ich realizacji. Rządy pomajowe, prowadzą „wyścig pracy", zwróciły uwagę i na ważne zagadnienie emigracji dla naszego państwa. W części przeto nasze postulaty zostały spełnione. Nauczycielstwo otrzymało więc odpowiednie uzupełnienie do głodowych pensyj, a obecnie i płatne urlopy, ułatwiono organizację samodzielnych ochron w kolonjach, udzielono pomocy na akcję bibljotekarsko-czytelnianą, wprowadzono inspektorat szkolny, regulujący częściowo stosunki szkolne w kolonjach. Słowem ruszyliśmy z miejsca. Oczywista, tę

poprawę o której mowa, należy sobie właściwie tłomaczyć, t. zn. wziąć za podstawę do oceny prawie, że zero.

Obecny więc postęp jest znaczny w stosunku do nikłego dotychczas. Nie odpowiada on jednak potrzebom, jakie na emigracji istnieją. 28.000 dzieci polskich jest skazanych na wynarodowienie, a do czasu tego procesu na powiększenie liczby analfabetów we Francji i kompromitację imienia polskiego wśród obcych.

Nauczanie polszczyzny we Francji idzie najrozmaitszemi drogami. Szkoły we Francji są dwojakiego rodzaju:

1) Szkoły komunalne (państwowe).

2) Szkoły prywatne (kopalniane).

I w jednych i w drugich nauczanie polskie jest traktowane jako dodatkowe do programu francuskiego, a do niedawna nauczyciel polak — jako pośrednik do nauczyciela francuskiego. Do niedawna tak to pojmowano, że zadaniem nauczyciela polaka jest wyjaśnienie tego, co francuski kolega do dzieci mówi. Dopiero realizacja postulatów Związku, odnośnie wprowadzenia państwowego czynnika polskiego, który regulowałby te sprawy zmieniła ten stan, ale tylko częściowo, na lepsze.

Taką właśnie czynność nauczycielstwa polskiego nazywa się popularnie nauką polskiego. W ten sposób układały się stosunki w psychice francuzów, jeżeli chodzi o pojmowanie naszej roli we Francji.

Dlatego też nierzadkie bywają wypadki, że lekcja polskiego odbywa się jednocześnie z lekcjami francuskiemi w jednej sali.

Z drugiej strony trzeba wziąć pod uwagę i tę okoliczność, że w wielu kolonjach liczby dzieci w wieku szkolnym dochodzą do kilkuset, względnie w większych kolonjach do 1.000, do 2.000, a nawet 3.000, a nauczycieli polskich kopalnia zatrudnia dla tej liczby jednego, względnie 3-ch, rzadko zaś ponad tę normę.

Istniejące trudności potęguje jeszcze tego rodzaju, fakt, że podział na grupy dzieci odbywa się nie według znajomości w języku polskim, lecz według posiadanych wiadomości w języku francuskim. Stąd na lekcjach polskich, obok chłopca 10-cio, względnie 11-sto letniego znajduje sie dzieciak 7-io lub 8-io letni, rozpoczynający dopiero i jeden i drugi naukę francuskiego. Stąd trudność do należytego podziału dzieci na odpowiednie grupy i ustalenie stałe poziomów nauczania polskiego. Ale na tych sprawach nie kończą się trudności w nauczaniu dzieci. W szkołach francuskich istnieje zwyczaj kilkakrotnej indywidualnej promocji w ciągu roku szkolnego. Skutkiem tego nauczyciel polski, stosujący się do przepisów francuskich, co raz to otrzymuje nowoprzyjęte dzieci w oddziale. Jeżeli do tego wszystkiego dodać niejednokrotnie przykre stosunki z nauczielstwem francuskim, niezrozumienie naszych potrzeb narodowych i językowych, jeżeli to uzupełnimy szykanami celowemi w wielu kolonjach **(zabranianie dzieciom prowadzenia podczas pauzy rozmów w języku polskim)**, jeżeli wreszcie weźmiemy pod uwagę te olbrzymie potrzeby, jakie istnieją w dziedzinie oświaty pozaszkolnej — zrozumiemy trudności z jakiemi walczyć musi nauczyciel polski, chcący wywiązać się sumiennie ze swego obowiązku wobec kraju.

Liczba godzin przeznaczonych na naukę języka polskiego jest różna w poszczególnych kopalniach, a nawet w poszczególnych szkołach na terenie tej kopalni. Są szkoły, w których na naukę polską z daną grupą dzieci przeznaczono 3 godz. dziennie, są inne, w których wyznaczono tylko godzinę względnie pół dziennie i wreszcie w szkołach komunalnych (państwowych) nauczanie polskie odbywać się w ramach programu nauk nie może.

W tych szkołach zarezerwowana jest godzina na tydzień po całodziennych lekcjach francuskich, t. zn. po godz. 5-ej p. p. Oczywiście z tego nauczania niema żadnego rezultatu pozytywnego

Dzieci prawie, że systematycznie nie uczęszczają na naukę raz w tygodniu. Odległość od lokalu szkoły, późna pora nauki i tysiące innych trudności przeszkadzają normalnej pracy.

Z drugiej strony nauczyciel posiada w takich kopalniach po kilka szkół do obsługi oddalonych od siebie o 10 klm,. na których przebycie potrzeba paru godzin koleją ze względu na złe połączenia. By być ścisłym, pozwalam sobie zacytować raport jednej z nauczycielek takiej kolonji, który brzmi dosłownie:

„Ilość dzieci, które uczę, przekracza 700. Lekcje prowadzę w 5-ciu kolonjach, 9-ciu szkołach, 18-tu oddziałach. Podlegam dwu inspektorom, pięciu dyrektorkom i czterem dyrektorom, oraz dwu inżynierom kopalni. Każdy oddział ma tygodniowo jedną godzinę nauki w szkole. Obaj inspektorowie nadesłali mi zakaz pisemny nauczania: śpiewu, historji i religji, poczem zakaz pisania i recytowania..."

A dalej, ...zdarza się, że niektórzy z nauczycieli zabierają zeszyty polskie przed moją lekcją. Początkowo pytano czego uczę, kazano dzieciom tłomaczyć, chciano nawet wymusić zeznanie, że zakazywałam mówić po francusku".

Pewne zmiany na lepsze nastąpiły dopiero po utworzeniu Inspektoratu przy Ambasadzie i objęciu stanowiska przez obecnego Inspektora szkolnego, tudzież objęciu steru polityki emigracyjnej we Francji przez p. radcę Lisiewicza, który dziś już ustąpił. Niema jednak żadnych układów w tej dziedzinie i poprawa sytuacji oświatowej spowodowana została nie przez specjalny układ, a przez wprowadzenie do tych spraw większego zdecydowania.

Zdajemy sobie dokładnie z tego sprawę, że brak układu regulującego nasze postulaty szkolne, utrudnia pracę. Tym większemu rozmachowi i tym szerszemu programowi pracy oświatowej nad dziećmi, muszą oddać się szeregi nauczycielskie. Skupione w swej organizacji, nauczycielstwo podjęło właśnie tę pracę dopełniającą, jakiej nauczanie polskie w oddziałach nie daje.

Podstawą pracy oświatowej prowadzonej w odniesieniu do dzieci jest pisemko Związku **„Polskie Pacholę"**.

Zdajemy sobie sprawę, że nauczanie nasze nie wszędzie dotrze, że rozszerzenie jego i pogłębianie nie będzie się posuwać w szybkiem tempie. Postanowił więc Związek ze słowem polskiem dotrzeć wszędzie tam, gdzie nauczyciel z tych czy innych racji dotrzeć nie może.

„Pacholę Polskie" ma za zadanie rozbudzenie wśród dzieci tęsknoty do książki polskiej, do czytania polskiego, do kultury polskiej, ma wytworzyć odczuwanie potrzeb kulturalnych wśród dzieci i młodzieży. Za pośrednictwem **„Pacholęcia"** chcemy nawiązać kontakt z krajem i dziećmi przebywającemi w szkołach w Polsce, ażeby nie zapomniały o swych braciach na obczyźnie.

„Pacholę Polskie" dociera wszędzie, chce budzić świadomość narodową, oraz zamiłowanie do czytelnictwa polskiego i polskości. W tej ważnej

pracy naszej, nauczycielstwo polskie w kraju, pomaga mu przez pośrednictwo w nawiązaniu kontaktu między dziećmi Polski i emigracji. W tym roku otrzymaliśmy przeszło 2.000 listów do wymiany.

Drugim ważnym działem pracy, realizowanym powoli, jest akcja organizacji wyjazdów dzieci do szkół w Polsce.

Zrodzona z chęci zachowania łączności z krajem rodzinnym, myśl wysyłania dzieci do Polski, corocznie realizowana była w coraz to szerszych rozmiarach. Pierwsza wycieczka dzieci do Polski, zorganizowana w 1925 r. spopularyzowała samą emigrację i pomocy ze strony kraju dla tej emigracji. Ulokowanie 30 chłopców, pozostawionych w Polsce.

Dalszą pracę prowadzą poza klasą polską, poza tą formą, jaką tak niedokładnie stworzył nam list grzecznościowy pana Peyerinhofa, jest praca korespondencyjna dzieci z Francji z dziećmi z kraju, oraz wymiana widoków i albumów polskich pomiędzy młodzieżą.

Zdajemy sobie sprawę, że nie jest to jeszcze nauczanie po polsku. Jednak że jest to duża pomoc w nauczaniu, duża pomoc w przywiązaniu do kraju rodzinnego, duża pomoc w wytworzeniu tego psychicznego nastawienia w umysłach dzieci a przez to i dorastających obywateli do kraju rodzinnego.

Dzięki tej korespondencji dzieci na obczyźnie dowiedzą się z listów swoich kolegów ze szkół polskich, trochę wiadomości z historji, geografji Polski, zapoznają się z wyglądem miasta i krajobrazów polskich (pocztówki krajoznawcze) uzupełnią wiadomości ogólne o Polsce współczesnej, materjałem czerpanym niejednokrotnie z listów, a wiadomości językowe przez konieczność odpisywania dzieciom polskim na otrzymane listy. Pozatem, gdy kontakt się nawiąże z daną szkołą, dzieci emigrantów mogą otrzymać ładne książeczki do czytania, oraz inne upominki, które zwiążą dzieci wzajemnie i pozwolą im zżyć się i nie zapominać o kraju rodzinnym.

Ministerstwo Oświaty w Polsce, uznając celowość tego rodzaju pracy, poparło akcję nauczycielstwa polskiego na emigracji, wydając specjalny okólnik do szkół. Nie może również nie poprzeć tej akcji i świadome wychodźtwo.

Dużym działem pracy dostatecznie niepodjętej, nieuregulowanej pewną tradycją, jest dział organizacji młodzieży w wieku szkolnym, która winna być ujęta w jakąś organizację ogólną Kół Młodzieży, posiadającą przy odpowiednim programie, pewną łączność ideową z organizacjami starszego pokolenia. Łączność ta winna być zaznaczona w ten sposób, żeby opuszczając swą organizację, młodzież dorastająca wchodziła do dalszego życia organizacyjnego i obywatelskiego.

Niewielkie próby w tej dziedzinie istnieją już na emigracji. Chodzi tylko o ich rozwiązanie i o wciągnięcie d otej pracy wszystkich bez wyjątku organizacyj we rancji do współdziania.

Typ dzisiejszego dziecka polskiego na emigracji urabiają nie zawsze zdrowe czynniki. Niejednokrotnie urodzone w Niemczech, w środowisku obcem, pozbawione z powodu zajęć zawodowych rodziców należytej opieki, ulegają zgubnemu wpływowi kin i estaminetów francuskich, a często i polskich, dalej zaś szybkość dojrzewania, tudzież gonienie za poklaskiem,— wszystko to stwarza ten typ, który musi napawać troską o los emigracji polskiej we Francji.

Przedewszystkiem tu, jak to na początku zaznaczyłem, tylko główne wytyczne w naszej pracy; nie jest to jednak całkowite i szczegółowe wyczerpanie tematu, na to niema tu miejsca.

Kończąc, pragnę w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa we Fran cji stwierdzić, że w pracach swych nad młodzieżą nie kie rujemy się żadną tendencją polityczną, czy dzielnicową. W pracy swej widzimy przed sobą tylko rodziców i dzieci, i pierwszym nie pytając ich o wyznanie politycznej wiary, pragniemy pomóc, drugich pragniemy wychować.

Takim winien być nauczyciel i takich bezstronnych wychowawców pragniemy widzieć na emigracji.

Idziemy z pracą do całej emigracji, a nie do koteryj, i grup społecznych czy politycznych.

Oświadczamy to wyraźnie i jasno.

Nie pragniemy też żadnej komendy nad emigracją, nie chcemy emigracją, ani też jej organizacjami rządzić.

Musimy atoli zaznaczyć, że przeciwstwiamy się zaistnieniu na emigracji obskurantyzmu i ciemnoty, prześladowaniu przekonań osobistych oraz terorowi prasy za te przekonania.

Dlatego wszelkie tego rodzaju tendencje, ocenialiśmy i oceniać będziemy nadal krytycznie i zwalczać je.

J. Więcek
Prezes Związku Polskiego Nauczycielstwa we Francji.

O ŚWIĘTOŚĆ PRZYSIĘGI

Religja, o której tak wiele mówi się dzisiaj w Polsce i która absolutnie niezagrożona znalazła tak wielu interesownych i niepowołanych obrońców — najczęściej bywa poniżana i poniewierana przez tych właśnie niepowołanych, a najczęściej niepoczytalnych „wyznawców - zawodowców".

Religja, wskutek uczynienia z niej hasła partyjnego i narzędzia wpływów i sporów politycznych, przestaje być „ucieczką grzesznych i strapionych", przestaje być świętością kultywowaną w duszach ludzkich — a staje się profesją i sztandarem wyborczym pewnej kategorji ludzi, którzy „uprawiają religję zawodowo", tworząc sobie z tego stopnie do karjery, cynicznie dyskontują na wpływy polityczne swe mniej lub bardziej szczere (przeważnie mniej) „przekonania" religijne, handlują niemi, przelicytowując się w klerykaliźmie...

Ale niech się znajdzie ktokolwiek, kto śmiałby potrącić tych ludzi, kto śmiałby im przypomnieć, że Chrystus ponoć przepędził handlarzy ze świątyń. Niech się znajdzie człowiek, któryby śmiał rzec słowo przeciw tej obłudzie i spustoszeniom moralnym, jakie czyni ona w społeczeństwie, niechaj ktoś powie np., że przysięga w sądzie jest złym średniowiecznym obyczajem, czczą formalnością — to wówczas na śmiałku tym suchej nitki nie zostanie. Zakrzyczą go, zaplują, dziadka mu i babkę w grobie poruszą, masonem zrobią, a może nawet wyklną z ambony.

Chcieliśmy tu właśnie poruszyć i oświetlić bezsens utrzymywania dotychczas ceremonjału przysięgi w sądzie.

Kiedyś w średniowieczu znane by-

ły okrutne tortury, jakie stosowano za krzywoprzysięstwo. Łamano kołem, smażono na wolnym ogniu, gotowano w smole i t. p. A pomimo tego krzywoprzysięstwa były.

W obecnie obowiązujących kodeksach karnych przewidziane są za krzywoprzysięstwo kary kilku lat ciężkiego więzienia. A krzywoprzysięstwa są na porządku dziennym i kiedy zostaną wykryte, to sankcje karne są minimalne. 1 lub 2 miesiące więzienia albo najczęściej uniewinnienie „z braku dowodów".

Sądy są w kłopocie a chorobliwy stan rzeczy trwa.

* * *

Śmieszne a zarazem smutne wrażenie robi na obserwatorach sam ceremonjał przysięgi sądowej.

„Świadkowie przysięgają". — „Proszę wstać!"

Szereg ludzi podnosi dwa palce do góry, sędzia szybko odczytuje, a najczęściej „na pamięć" mówi tekst przysięgi.

Słychać urywane powtarzanie:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu...... mówić całą prawdę.... nie zataję...... tak mi dopomóż Bóg i niewinna męka Jego. Amen."

A potem zeznania, które nigdy, dwa w jednej sprawie, nie są do siebie podobne.

Świadek Wojciech Pokrywka pod przysięgą zeznaje, jak Piotr Konewka bił wielokroć razy Antoniego Ćpaja, a ten „chudzina" ani nawet okiem Stał i nic. A świadek Jakób Cipa pod przysięgą zeznaje, że to właśnie Antoni Ćpaj katował Piotra Konewkę, a ten „chudzina" ani nawet okiem nie mrugnął. I tak idą zeznania za zeznaniami, a potem zmęczony sędzia ogłasza wyrok.

I sprawiedliwości stało się zadość, ale prestige przysięgi został obniżony. Świętość została sponiewierana. „Bóg i niewinna męka Jego" zostały sprowadzone między ludzi, aby służyć celowemu kłamstwu.

W niedawnym procesie przeciwko jednemu z morderców prezydenta Łodzi Cynarskiego — Rydzewskiemu, około 10 ludzi przysięgało, że w chwili mordu Rydzewski był pośród nich. Rydzewski w konsekwencji przewodu sądowego został uznany za winnego, a świadkowie, którzy przysięgali „Bogu Wszechmogącemu", zostali uniewinnieni. Brak dowodów.

* * *

A potem drugi moment już nie natury etycznej, lecz raczej... hygjenicznej. Gdy po tekście przysięgi, padnie uroczyste „Amen", wowczas świadkowie podchodzą kolejno i całują blaszany lub drewniany krzyż z wizerunkiem ukrzyżowanego Jezusa. Każdy na dowód swej żarliwości stara się najgoręcej ucałować blaszany krzyżyk. I tak z ust do ust podają sobie grypę, szkarlatynę, suchoty.... Za pośrednictwem sprofanowanego krzyża!

* * *

Czas już najwyższy, aby położyć kres tym niepotrzebnym, przykrym, a w gruncie rzeczy średniowiecznym ceremonjałom.

Religja na tem traci, sądy nic nie zyskują, a ludzie?.. Bądźmy szczerzy, jak jutro ludziom każemy przysięgać na fale elektromagnetyczne, to dalibóg, że znowu przez kilka wieków, powtarzaliby tępo i bezmyślnie jakąś nową formułę. Aby dać świadectwo prawdzie...

Komisja Kodyfikacyjna, pracująca w skrytości i przeraźliwie długo, nad zbudowaniem nowych praw, które mają wnieść wiele ulepszeń do martwych bezdusznych kodeksów — powinna gruntownie rozważyć tę sprawę i przysięgę bezwarunkow z sądu usunąć. Na miejsce przysięgi wprowadzić należy uroczyste zobowiązanie mówienia prawdy i paragraf ten otoczyć powagą i surowością. Najdotkliwiej musi być karane świadome kłamstwo popełnione przed sądem. Ale przysięgę wraz z jej mechanicznym ceremonjałem trzeba usunąć.

A że „zawodowi obrońcy religji" będą zakładać uroczyste protesty, to będzie tylko jeszcze jeden dowód ich obłudy i.... nieposzanowania religji.

Zygmunt Tomczak

NA TRYBUNIE

CZY KRYZYS KAPITALIZMU?

(Przyczynek do artykułu T. Wałek-Czerneckiego „Czy zmierzch kapitalizmu"?).

Rozwój kapitalizmu szybkiemi krokami zdąża naprzód. Z jednej strony wzrastają potrzeby części społeczeństwa — konsumentów, z drugiej zaś równolegle wzrasta armja bezrobotnych.

Przyjrzyjmy się temu procesowi w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i w Australji.

Przewodniczący związku robotników, zatrudnionych w fabrykach pończoch jedwabnych w St. Zjednoczonych, zwrócił się do właścicieli fabryk z propozycją odbycia konferencji wspólnie z przedstawicielami władzy, dla zastanowienia się nad tem, czy celowem jest stosowanie w przemyśle systemów pracy mechanicznie zwiększających liczbę bezrobotnych. Apel ten spowodowany został obwieszczeniem Towarzystwa „Allen — A. Co." w Kenoshe, Wisc., zapowiadającem wprowadzenie w fabrykach pończoch, systemu obsługi dwuch maszyn przez jednego robotnika i równocześnie stwierdzającem, że w fabrykach tych nie znajdą pracy robotnicy, należący do organizacji zawodowej. Bezpośrednim skutkiem tych zapowiedzi był wybuch strajku kilkuset robotników. Obsługa dwóch maszyn w praktyce sprowadza się do tego, że wykwalifikowany robotnik musi za marne grosze wziąć sobie do pomocy chłopca, lub też stale uczyć kogoś z nowowstępujących robotników. W Realing wprowadzony system obsługi dwóch maszyn doprowadził, do tego, że wielu młodych, mniej doświadczonych, robotników, zmuszonych było porzycić pracę, nie mogąc podołać swemu zadaniu.

Międzystanowa Komisja Handlowa, w sprawozdaniu swem wykazuje, że w ciągu października i listopada r. ub. zwolniono 54,481 kolejarzy. W okresie między 1-ym lipca a 30-ym listopada r. ub. zwolniły koleje amerykańskie 94,274 pracowników. Sprawozdanie komisji wykazuje redukcję sił roboczych o blisko 100,000 ludzi, w porównaniu z latami ub. W listopadzie r. ub. na listach płacy kolei amerykańskich figurowało 1,729,061

pracowników w porównaniu z 1,827,945 w listopadzie 1926 roku, 1,899,545 w listopadzie 1923 roku i 1,732,353 w listopadzie 1921 r.

W listopadzie 1927 r. zarząd kolei wypłacił pensje pracownikom w sumie 239,809,138 dol., z czego wynika, że w porównaniu z tymże miesiącem roku poprzedniego „zaoszczędzono" 13,000,000 dol., ponieważ w listopadzie 1926-go roku, ogólna suma pensji wynosiła 252,494,496 dolarów. W listopadzie zaś 1923 r. wydatek kolei amerykańskich na pensje wynosił 249,686,024 dol.

Sprawozdanie wykazuje zmniejszenie się ilości pracowników we wszystkich departamentach, niezależnie od zwykłego nieznacznego przyrostu liczby sił kierowniczych i pracowników najniższej kategorji. Liczba robotników warsztatowych jest o 40,377 mniejsza od tejże w roku poprzednim. Ubytek obsługi pociągów i parowozów wynosi 23,168; pracowników na linji kolejowej — 14,780; transportu, niezalżnie od obsługi pociągów i lokomotyw — 11,014; personelu biurowego — 9,602. Przeciętny zarobek kolejowy w listopadzie 1927 r. wynosił 138.60 dol., w listopadzie 26 r. — 138.20 dol., w tymże miesiącu 23-go roku — 131.40 dol.

Bezrobocie w Ameryce Północnej zatacza coraz szersze kręgi. Wszystkie gałęzie przemysłu ograniczyły swą produkcję — niskie zarobki klasy robotniczej, uniemożliwiają jej odgrywanie należnej roli głównego spożywcy w społeczeństwie. W ostatnich tygodniach daje się, co prawda, zauważyć pewne ożywienie na rynku stali i żelaza, co pozwala spodziewać się wogóle poprawy sytuacji w przemymyśle. Wytwórnie automobili otrzymują ostatnio znaczną ilość zamówień, którym nie zawsze na czas mogą podołać. Spodziewane jest również w niedalekiej przyszłości ożywienie ruchu budowlanego, co przyczyni się do zmniejszenia bezrobocia. Trudno jednak powiedzieć, w jakim stopniu rzeczy te przyczynią się do zmniejszenia rozmiarów ogólnego bezrobocia i jak długo zamierzone prace trwać będą. Tymczasem, drobne ogłoszenie w gazetach New-York'skich, że potrzebny jest chłopiec lat 16 — 17, do zamiatania i innych robót w sklepie, z wynagrodzeniem początkowem 16 dol. tygodniowo — wywołuje żywe zainteresowanie około 500 ludzi różnego wieku, o pracę tę się ubiegających. Co prawda, bezrobocie było stałem zjawiskiem w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, nawet w czasach najlepszej konjunktury gospodarczej, obecnie jednak jest zjawiskiem, którego rozmiary wzrastają z każdym miesiącem. Sekretarz Departamentu Pracy, Davis, stwierdza, że wzrost produkcji w Ameryce wraz z błyskawicznym rozwojem techniki, pozbawia wielu robotników pracy. Davis uważa, że bezrobocie w Ameryce stanie się stałem zjawiskiem, o ile się nie uda rozbudować nowych gałęzi przemysłu. Jak dotąd jednak, rozbudowa tych nowych gałęzi przemysłu, pozostaje w krainie utopji.

W jak szybkim tempie rozwija się bezrobocie mogą pouczyć nas cyfry które podaje styczniowy zeszyt z roku bieżącego Państwowego Departamentu Pracy w Nev - Yorku. Według tych danych w fabrykach stanu Nev-York pracowało w listopadzie 1927 r. o 20 tysięcy robotników mniej, niż w poprzednim miesiącu. W październiku zaś tegoż roku liczba robotników zatrudnionych w fabrykach stanu Nev - York, była mniejszą o 40 tysięcy, niż we wrześniu; we wrześniu była ona o 13 tysięcy mniejszą, niż w lipcu tegoż roku. Nie oznacza to jednak zmniejszenia się wartości wyprodukowanych towarów. Wręcz przeciwnie, wartość towarów, wykonanych przez mniejszą ilość robotników, znacznie wzrosła. Wysokość sumy wypłaconych zarobków zmalała, ponieważ zmniejszyła się ilość zatrudnionych robotników, jednak ilość i jakość towarów wzrosła ze względu na rozwój techniki maszynowej, która zaprowadza stale w fabrykach nowe maszyny umożliwiające z jednej strony stałe zmniejszanie ilości robotników przy równoległem powiększaniu wydajności ich pracy. Bezwątpienia proces technicznego udoskonalania się ilości wprodukowanych towarów.

Podobnie i Australja nie została oszczędzona przez to stadjum rozwoju kapitalizmu. Robotnicze związki zawodowe, starają się wszelkiemi środkami, przeszkodzić imigracji robotników innych krajów, ze względu na znaczną ilość własnych bezrobotnych. Weźmy dla przykładu stosunki w przeciętnym robtoinczem mieście australijskiem, jak je charakteryzuje czasopismo esperanckie „Sennaciulo". Miasteczko Maryborugh, liczące 13 tysięcy mieszkańców, ma obecnie 1000 zarejestrowanych bezrobotnych, każdy pracownik lub pracownica otrzymują, po zwolnieniu, jeśli pracowali ostatnio w ciągu 6-ciu miesięcy, przez czas 13-tu tygodni, zapomogę w wysokości 25 szylingów i po 4 szylingi na każde dziecko, każdy pracujący płaci 4 pensy tygodniowo ubezpieczenia na wypadek bezrobocia. Rozmiary bezrobocia w Australji zwiększają się w zastraszający sposób. W kraju liczącym zaledwie 6 miljonów mieszkańców, mamy 100 tysięcy bezrobotnych, co nie przeszkadza miejscowu ukonserwatywnemu rządowi, sprowadzać, pod wszelkiemi pozorami, wciąż nowych robotników, z wyraźnym zamiarem obniżania miejscowych zarobków. Skutkiem tego, jest wrogi stosunek robotników australijskich do przybyszów, szczególniej, jeśli zaliczają się oni do innej rasy (murzyni). Z powyższego widzimy, że w Australji nie starcza pracy dla ludzi miejscowych, cóż dopiero mówić o emigrantach W Australji nie ma dotychczas powszechnego ubezpieczenia na wypadek bezrobocia i dlatego też, dla zobrazowania jego rozmiarów, opierać się możemy wyłącznie na sprawozdaniu centrali australijskich związków zawodowych. Ze względu jednak na to, że ilość zorganizowanych zawodowo robotników w Australji, jest bardzo znaczna, można sądzić, na zasadzie tych cyfr, o całokształcie bezrobocia. W ostatnim kwartale 1927 r.— wynosiła ilość bezrobotnych 5,7% wszystkich członków australijskich związków zawodowych; w pierwszych zaś 3-ch kwartałach 1927 r. wynosiła 5,9%, 6,4% i 6,7%. Wydział wykonawczy australijskich związków zawodowych, ze względu na stale wrastające bezrobocie, powziął uchwałę protestującą przeciwko imigracji 450 tysięcy robotników angielskich, którzy mieli przybyć z Anglji w ciągu najbliższych 10-ciu lat.

Stanowisko australijskiej klasy robotniczej, odnośnie do zagadnienia przychodźtwa z za morza, charakteryzują uchwały stwierdzające, że jakkolwiek ze zmianą stosunków politycznych w kraju, mogłaby Australja dostarczyć pracy wielu jeszcze ludziom, jednak w chwili obecnej w interesie miejscowych robotników, jak również i ewentualnych przybyszów, leży powstrzymanie wszelkiej imigracji do Australji, tak gorąco propagowanej w Anglji.

Charakteryzując stosunki społeczno-ekonomiczne w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i w Australji, miałem na względzie zobrazowanie z jednej strony terenu klasycznego rozwoju kapitalizmu, z drugiej zaś kraju, o którym krążą wieści, że jest jakoby rajem dla robotników ze względu na rozwój swego ustawodawstwa społecznego. O innych krajach postaram się informować w stałej rubryce międzynarodowej, kroniki gospodarczej. Rzeczywistość poucza nas, że istotnie rozwój kapitalizmu kryje w sobie zarodki nowych konfliktów społecznych. Równolegle z rowojem uprzemysłowienia wszystkich krajów, zmuszone są one wywozić nietylko towary, ale i swych obywateli, nie mogących znaleść pracy.

Czy należy z tego wyciągać wniosek, że kapitalizm chyli się ku upadkowi, względnie stopniowemu przejściu w ustrój socjalizmu państwowego?

Odpowiem na to, że formy tego rozwoju gospodarczego zależne są w pierwszym rzędzie od roli, jaką w nim odgrywają bezpośrednio zainteresowane masy pracowników fizycznych i umysłowych.

Jedynie tylko organizacja pracowników jednocząca ich wszystkich w imię haseł ujmujących całokształt zagadnień gospodarczych bez różnicy poglądów politycznych i umożliwiająca im wnikanie już teraz w tajniki produkcji, może być czynnikiem sprzyjającym realizacji hasła uspołecznienia produkcji. Najważniejszem jest, ażeby przestarzałe formy partyj politycznych ,czy związków zawodowych, zastąpione zostały u dołu przez nowe formy organizacyj fabrycznych czy warsztatowych, obejmujących wszystkich robotników danego warsztatu pracy. Te komórki gospodarcze, federując się między sobą na terenie danej gałęzi produkcji, tworzyłyby już w ramach istniejącego ustroju kapitalistycznego, szemat przyszłej organizacji produkcji, opartej nie na zysku, lecz na zasadzie zaspokojenia potrzeb społeczeństwa i znoszącej pojęcie pracy najemnej

Nie na terenie partyj politycznych, czy na arenie parlamentarnej, ale w warsztacie pracy narodzi się przyszły ustrój — akuszerem jego nie będzie polityk, czy poseł robotniczy, ale szara bezimienna masa pracownicza, która swą pracą tworzy materjalne i kulturalne podstawy naszego ustroju społecznego i w pewnym momencie potrafi wprowadzić ustrój, oparty nie na władzy nad ludźmi, lecz na administracji rzeczy.

J. Strasz.

OLIMPIJSKIE LAURY

URODA ŻYCIA

Nagrody przyznane przez Komitet amsterdamskiej olimpjady poecie Kamierzowi Wierzyńskiemu i malarzowi Władysławowi Skoczylasowi, dobrze świadczą o naszej twórczości w tej dziedzinie, której brak przed wojną bardzo odczuwaliśmy. Odznaczone dzieła, w swoim rodzaju poprawne i zajmujące, do arcydzieł nie należą. Ich autorowie, zresztą bardzo różni od siebie stopniem uświadomienia twórczego, przypadkiem raczej wybrali tematy, które potem nabrały specjalnego oświetlenia. Przypadkiem, piszemy dlatego, ponieważ wiersze Wierzyńskiego co do wyboru treści są raczej okolicznościowe a to co w sztychach Skoczylas wyraził, mógł przecież wyrazić, dobierając inny motyw, a nie zatraciłoby tej pierwotnej widocznej mocy, która mu w łuczniku i innych rysunkach zjednała olimpijską nagrodę. Obaj polscy artyści nagrodę dostali za affimarcję życia, za całkowite opanowanie jego tempa. Wiersze Wierzyńskiego pod tym względem są bardzo szczęśliwą postacią ekstazy naiwnej w wyrazie, mocnej wyjątkową szczero'cią i bogactwem szczegółów. Jego wiersze nie są sportowe w ścisłem znaczeniu słowa, co trafia się tylu poetom nadsyłającym swe utwory na olimpjadę, lecz śpiewnym swym rytmem wypowiadają najkulturalniejsze treści, które może odczuwać zachodni Europejczyk we współczesnym stadjonie. Pozatem Wierzyński jest doskonale poinformowany i w zakresie sportów posiada wiadomości, które posiadają tylko fachowcy. To przy lekturze rzuca się w oczy i to czyni szczególnie cennem olimpijskie zwycięstwo Wierzyńskiego. W dotychczasowej karjerze poetyckiej Wierzyńskiego „Laur Olimpijski" jest magnum opus, zawartością swą przewyższającem tomiki wstępne o jasnej już konstrukcji, lecz nieco sztubackiem jeszcze wykonaniu.

Podhalańskie źródła inspiracji Skoczylasa, jak tyle razy w plastyce polskiej, tak i tu wytworzyły zachwycający ludzi współczesnych konglomerat barbarzyńskiej surowości tematu z wycieniowaniem subtelnej techniki Górale ustrojeni jak Mohikanie, surowością nie ustępujący Baskom, a twardym trybem życia Skandynawom — mają u Skoczylasa co najmniej tyle wyrazu, co najlepszy inny olimpijską nagrodą uwieńczony obraz. Oczywiście jednak Skoczylas miał rywali w tych malarzach i rzeźbiarzach, którzy potraktowali fachowo i dosłownie, wydobywając nowe walory z zajęć sportowych.

Nie spodziewamy się, aby liczni naśladowcy sukcesem olimpijczyków zachęceni starali się nową szkołę sportową w twórczości rozpowszechnić. Entuzjazm Wierzyńskiego dotyczył w pierwszym rzędzie w y s i ł k u ludzkiego, grającego ostatnią stawkę zagrożonego życia czy w śmiertelnym wyścigu na arenie czy w śmierciononośnej biegunowej wprawie. Obejmując szerszy zakres od właściwego sobie metier, twórczość sportowa staje się czemś niezwykłem i nowoczesnością życia zapłodnionem. Sport olimpijski wymagający stałego i niezmiennego postępu w wynikach osiąganych przez trening ciała, niema nic w sobie z hedonizmu. Wręcz przeciwnie, zmaganie się sportowca z niedostatkami techniki sportowej, naprężanie organizmu do coraz większych świadczeń jest postacią przezwyciężenia siebie, czyli taką formą ascezy, która zawsze podniecała prawdziwych poetów, twórczość ich ostatecznie zawsze składała się z opisu nadzwyczajności w człowieku lub przyrodzie.

mr.

DNI CHWAŁY I DNI WSTYDU

Z perspektywy kilkunastu dni, jakie dzielą nas od głośnych w Polsce i w świecie całym eskapad lotników polskich — można o tej sprawie pomówić już nieco spokojniej.

Lot do Bagdadu udał się wprost znakomicie. Czas osiągnięty jaknajlepszy, a trasa odbytego lotu winna być przykładem podawanym w szkołach dla nawigatorów. Tylko jakieś przeklęte fatum spowodować mogło, że u kresu podróży zdarzył się tragiczny wypadek, okupiony śmiercią najlepszego polskiego nawigatora ś. p. por. Szałasa. Przez tę śmierć lotnictwo polskie ponosi stratę niepowetowaną...

Na wrzaski tendencyjnie usposobionej prasy, która z każdego wypadku lotniczego, kuje sobie broń polityczną, przeciwko obecnemu regime'owi, odpowiedzieć należy pogardliwemu milczeniem. Bo winą śmierci por. Szałasa był jedynie wypadek — jeden z tych, niestety „zwykłych" wypadków lotniczych, w każdej chwili czychających na życie lotnika.

Lot jednak sam był zwycięstwem polskiego lotnictwa wojskowego.

— — — — — — — — —

Drugi lot, dwóch tuzów lotniczych, majorów Kubali i Idzikowskiego, był bardziej skomplikowanem przedsięwzięciem. Ryzyko było olbrzymie, a szanse zwycięstwa minimalne, gdyż dotychczas nieudałe loty przez Atlantyk w kierunku ze wschodu na zachód, przedstawiają się w stosunku jak 20 : 1.

Dwaj ludzie, którzy zaryzykowali swe młode życia dla rozsławienia imienia Polski po całym świecie, przygotowywali się spokojnie i rozważnie do gigantycznego lotu, studjując jednocześnie pilnie warunki atmosferyczne, gdyż zdawali sobie dokładnie sprawę, że dwie są przed niemi drogi: zwycięstwo lub śmierć. Na ocalenie w razie wypadku liczyć wprost jest niepodobieństwem.

Gdy tam Kubala i Idzikowski przygotowywali się w skupieniu do niebezpiecznego przedsięwzięcia — z jakimże oburzeniem i pogardą słuchać musieli głosów prasy tego kraju, który chcieli rozsławić, choćby kosztem własnego życia — głosów prasy polskiej.

Jakże wielu znaleźli „przyjaciół", „protektorów", „opiekunów" i „mecenasów" swego bohaterstwa? Jak bezwstydnie kupczono ich bohaterstwem dla „poczytności" pism?

Jak się denerwowano w wygodnych fotelach redakcyjnych lub przy stolikach kawiarnianych — że „jeszcze nie lecą"?

Wytwarzano nastrój, robiono opinję „zdenerwowanych rzesz czytelników", namawiano uprzejmie, żeby już sobie raz pojechali. To znowu brano ich „w obronę", łaskawie i protekcyjnie klepano po ramieniu, obłudnie doradzano i odradzano...

Całe piekło wściekłości, poniżenia i chłosty moralnej, znosić musieli lotnicy nasi od pseudo - przyjaciół i przeciwników... Zaciąwszy zęby w milczeniu przygotowywali się i czekali.

Wreszcie gdy pogoda sprzyjała i warunki wytworzyły się możliwe — polecieli. Może na śmierć...

— — — — — — —

Nie danem im było jednak dolecieć. Głupi, drobny defekt w motorze, spowodował, że po przeleceniu kilku tysięcy kilometrów nad bezkresem oceanu, śmierć zaczęła im zaglądać w oczy. Zawrócili. Po drodze spotkali szczęśliwie jakiś statek, w chwili, gdy motor zaczął odmawiać posłuszeństwa. Opadli na wodę i zostali wyratowani.

I choć nie przelecieli, to jednak zwyciężyli, gdyż w wyjątkowo trudnych warunkach przebyli przestrzeń między brzegami Europy, a Ameryki Północnej. Jesteśmy z nich dumni... i szczęśliwi, że zostali wśród żywych.

Ale prasa bratnia nie śpi.

Jak śmieli się uratować? Dlaczego nie zginęli?

Znaleźli się „znawcy" i „fachowcy", zaczęli rozstrzygać, rozpatrywać, „badać". Zaczęła się garść półuśmiechów, półsłówek, domyślne miny. Che, che — my coś wiemy... A dlaczego nie na Azory?... Dlaczego nie do Ameryki? Dlaczego 3 sierpnia? „Żądamy wyjaśnień"?

Obcy ludzie składają wyrazy hołdu i uznania Swoi robią, co mogą, by z pobudek politycznych znaleźć za wszelką cenę jakieś karygodne błędy, winy...

— — — — — — — —

Przeżywaliśmy ciężkie chwile, i zdaje się, iż wypowiemy opinję większości społeczeństwa, że jeśli mamy jeszcze raz podobną atmosferę moralną przeżywać... — to niechaj już nasi nigdy przez Atlantyk nie lecą.

Złom

WŚRÓD LODOW PÓŁNOCY

WŚRÓD LODÓW PÓŁNOCY.

Świat cały żyje jeszcze pod wrażeniem straszliwej tragedji, jaka rozegrała się wśród lodów bieguna północnego.

Głośna wyprawa gen. Nobile, skończyła się dla jej uczesników najfatalniej.

Sterowiec „Italja" został doszczętnie zniszczony i uniesiony wraz z 6 ludźmi w nieznane pustynie lodowe. Z ekspedycji, **która wyruszyła na pomoc rozbitkom**, ginie 4 ludzi z Amundsenem na czele. Ginie wreszcie jeden z niewłoskch członków ekspedycji, znakomity uczony szwedzki prof. Malmgren. Nazwiska zaginionych są: Alessandrini, Lago, Ciocca, Pontremoli, Caratti, Arduino, Brazy, Dietrichson, Guilbaut, Amundsen i Malmgreen.

— — — — — — — — —

Dokoła tej tragedji, a raczej jej głównego bohatera gen. Nobile, rozpoczęła się zacięta walka prasowa. Najsmutniejsze zaś było to, że dominował w tej walce pierwiastek sympatji czy antypatj osobistych, pierwiastek polityczny. Dla jednych, Nobile był bohaterem, bo jest faszystą, dla innych znowu był wprost zbrodniarzem, bo właśnie... jest faszystą.

Pewna prasa omawiając tę tragedję, okazała się dla Nobilego bardziej bezlitosną, niż straszliwe mrozy północy. I Nobilemu i jego towarzyszom nie szczędzono najokrutniejszych zarzutów. Aż wreszcie posunięto się do tego, że dwóch oficerów Mariano i Zappi posądzono o to, że umyślnie uprowadzili z sobą Malmgrena aby go zabić i... zjeść. Zaiste pomysł taki zrodzić się mógł tylko w umysłowości zbrodniczej lub chorej.

• • •

Dziś już na wyprawę Nobilego można patrzeć objektywnie. Niema tu winnych i niewinnych, a działał tylko okrutny splot wypadków. Nie można winić Nobilego za katastrofę, gdyż przecie przygotowania do niej odbywały się przy współudziale czecha prof. Bechounka oraz tak wybitnego, znawcy krainy arktycznej jak prof. Malmgrena.

Możnaby czynić Nobilemu zarzut z tego, że pierwszy uratował się na aparacie bohaterskiego szweda Lundborga, ale zarzut ten, też byłby gołosłowny, gdyż, jak stwierdza objektywnie Lundborg. Nobilego zabrał pierwszego, na ogólne i kategoryczne żądanie jego towarzyszy niedoli.

Więc tylko jakieś ślepe i tępe zacietrzewienie mogło dyktować niektórym pismom ich ohydne wycieczki przeciwko uratowanym uczestnikom ekspedycji polarnej.

— — — — — — — — —

Trzeba sobie całkiem innego rodzaju pytanie postawić wobec tej okropnej tragedji— mianowicie, czy ekspedycje do bieguna północnego są wogóle celowe. Odpowiedzieć można dziś zupełnie pewnie, że absolutnie niecelowe. Pustynie lodowe nie dostarczają nauce, nic nowego, ani ciekawego. A śmierć czyha na każdym kroku. To też najsłuszniejszem byłoby wszelkich tego rodzaju wypraw poniechać. Tego domagać się muszą ostatnie tak bolesne i tak tragiczne doświadczenia ekspedycji sterowca „Italja". Jedenaście ofiar, które zostały złożone w ofierze lodom północy — niechaj będą ostatniemi.

Bor.

Przypominamy Sz. Prenumeratorom, iż czas odnowić przedpłatę za drugie półrocze b. r.

KRECIA ROBOTA

(Korespondencja z Berlina)

Zwykle na wiosnę każdego roku odbywają się w Niemczech zjazdy różnego rodzaju organizacyj, których zadaniem jest obrona niemczyzny zagranicznej. Organizacje te, których w Niemczech jest cały legjon, w przeważającej większości noszą na sobie wyraźnie szowinistyczno - nacjonalistyczne piętno. Zaledwie część z nich stara się zgrupować pod hasłem pomocy dla braci niemieckich poza granicami Rzeszy ludzi z różnych obozów politycznych.

Wśród organizacyj pierwszego typu wysuwa się na czoło t. zw. **„Deutsche Ostbund"**, który odbył swój zjazd tegoroczny w Duisburgu pod hasłem pogłębienia wspólnoty ideowej między niemieckim **„Ostmarkiem"** i **„Westmarkiem"**.

Przebieg tego zjazdu jest jeszcze jednym, wyraźnym dowodem, iż nacjonalizm niemiecki w swem bojowem nastawieniu zwraca się dziś niemal wyłącznie przeciwko Polsce. Punkt wyjściowy całego rozumowania stanowi pogląd, iż o żadnym Locarnie Wschodu tak długo nie może być mowy, dopóki nie zostaną przywrócone — **„die alten deutschen Volksgrenzen"**. Cały więc wysiłek społeczeństwa niemieckiego winien iść w kierunku utrzymania stanu posiadania niemieckiego w Polsce. Walka o utrzymanie go jest przytem walką z „naporem" słowiańskim, który stale „zagrażał i zagraża" wschodnim prowincjom Rzeszy.

Szereg referatów wygłoszonych na zjeździe w Duisburgu, oświetlał wszechstronnie powyższe tezy nacjonalizmu niemieckiego. Najciekawsze rozwinięcie tych tez znalazło swój wyraz w referacie nacjonalistycznego „specjalisty" od Ligi Narodów, posła do parlamentu Rzeszy prof. Otto Hoetzscha. Cały ten referat wymierzony był wyłącznie przeciwko Polsce.

Stwierdziwszy na wstępie niesprawiedliwości traktatu wersalskiego, który oderwał do Polski tereny, które **„mit dem deutschen Kerngebiet unmittelbar zusammenhängen"**, za trzymał się prof. Hoetzsch dłużej na sprawie t. zw. „korytarza", stwierdzając, iż granica polska jest tutaj „czemś niemożliwem". Prusy Wschodnie są bowiem oddzielone od kraju macierzystego i narażone wobec tego na stałe niebezpieczeństwo.

Ta ostatnia kwestja, jak wogóle sprawa kresów wschodnich — zdaniem prof. Hetzscha — wymaga stanowczo powstania specjalnego urzędu przy ministerstwie spraw wewnętrznych Rzeszy. **„Ostpreussen"** i **„Osthilfe"** jest wobec tego pierwszym obowiązkiem rządu i całości parlamentu. Autor referatu narzekał, że realizacja tej pomocy szła bardzo powoli i tylko bezpośredniej interwencji prezydenta Hindenburga należy zawdzięczać, iż została ona popchnięta naprzód.

Równolegle z tą pracą zadaniem Rzeszy winna być stała oobrona praw Niemców w Polsce. Od czasu, gdy Niemcy weszły do Ligi Narodów — zdaniem Hoetzscha — muszą przedewszystkiem wypełnić swe zadanie w tej dziedzinie. Liga Narodów ma więc być niejako instrumentem obrony niemczyzny zagranicznej, zwłaszcza w Polsce.

Bez rewizji granic z Polską pokój w Europie jest niemożliwością — wywodził nacjonalistyczny profesor. Powołując się na zdanie **Mussoliniego**, przypomniał, iż traktaty pokojowe nie są wieczne. Chodzi więc o to, żeby z chwilą, gdy zaistnieje możliwość tej rewizji na terenach oderwanych przez Polskę, niemczyzna trwała tam w swej sile, żeby ta sama niemczyzna stanowiła potęgę na wschodnich kresach Rzeszy.

Referat prof. Hoetzscha, jak widzimy, nie przynosi nic nowego, stanowi jednak jeszcze jedno potwierdzenie faktu, iż nacjonalizm niemiecki w dalszym ciągu konsekwentnie snuje swe plany rewizyjne i że jego właściwe, istotne nastawienie skierowane jest przedewszystkiem przeciwko Polsce.

Credo p. prof. Hoetzscha jest wyznaniem wiary legjonu organizacyj podobnych do **„der deutsche Ostbund"**. W tym duchu wychowuje się młodzież niemiecką, szerząc wśród niej nienawiść do Polski i myśl o przyszłym odwecie.

A. M.

KSIĄŻKI, KTÓRE ZMUSZAJĄ DO MYŚLENIA

ST. BUKOWIECKI: — „POLSKA WSPÓŁCZESNA"

(Szkic ustroju państwowego. Warszawa, 1927. Wyd. Koła P.M.S. im. Zofji Bukowieckiej)

Nigdy chyba bardziej nie było potrzebne uświadomienie mas o dziedzinie ustrojowej jak dzisiaj. Świadomość potrzeby reform może wpłynąć ze znajomości braków ustroju. Świetnie rolę taką spełnić może broszurka p. St. Bukowieckiego „Polska Współczesna", szkic ustroju państwowego, który w niej w sposób niezmiernie umiejętny i przystępny informuje, naucza, co to jest Polska, jako państwo, a jednocześnie z równie umiepsychrice polskiej, a często wręcz zagrażającą, jak subtelną ostrożnością wskazuje jego braki i zaleca ich naprawę.

Już w pierwszym rozdziale wysuwa autor myśl, że każdy ustrój powinien wypływać z potrzeb życia narodu. Stabilizowanie form ustrojowych jest potrzebne a nawet konieczne dla rozwoju potęgi państwa, ale nie może nastąpić ani zbyt pośpiesznie, ani wbrew narzucającym się z nieubłaganą często konsekwencją potrzebom życia. W Polsce trzeba myśleć o stabilizacji, ale nie wolno pod żadnym pozorem naginać ustroju do teoretycznych formułek. Z drugiej strony strzec się wypada przesiąkania zazwyczaj obcych cych zdrowiem i samodzielnemu rozwojowi

narodu we własnem państwie, różnych urządzeń państ zaborczych, które nierzadko potrafiły zrosnąć się w okresie niewoli z życiem społeczeństwa polskiego danej dzielnicy. Słusznie podnosi autor te głębokie zagadnienia nawet w tak popularnej broszurce, gdyż w ten sposób wpływa wychowawczo na czytelnika, któremu stawia przed oczy konieczność zespolenia dzielnic, usunięcia z życia politycznego i społecznego różnych zadawnionych, a tak szkodliwych partykularyzmów i wykorzenienia niezdrowych objawów „patryjotyzmu dzielnicowego". Jednocześnie trzeba podnieść niewątpliwie słuszną tezę p. Bukowieckiego, że instytucje ustrojowe nowe (bo autor chce aby w zasadzie i z reguły nie były one przeróbką starych zaborczych) przystosowywane były do poziomu dzielnic stojących na najwyższym szczeblu kultury, a więc „nie powinny one przystosowywać się do poziomu np. ziem wschodnich, ale poziom ich winien być podniesiony przez wprowadzenie dla całego państwa urządzeń rodzimych, stojących na wysokości tego, co zastaliśmy w najwyżej rozwiniętej dzielnicy popruskiej".

Pożądaną rzeczą jest to, iż autor wprowadza czytelnika już w rozdziale II p. t. „Układ społeczny" — w zagadnienia społeczne, z których więc niejako wychodzi, dając w dalszych rozdziałach kolejno i systematycznie przegląd już samego ustroju państwowego. W przeglądzie tym potrafił autor świetnie, bo prosto i obrazowo przedstawić rozbiór naszej ustawy konstytucyjnej i ustrój funkcjonowania oraz wzajemne ustosunkowanie się wszystkich najważniejszych instytucji państwowych w rozdziałach następujących: „Władza prawodawcza", „Głowa państwa i Rząd", „Administracja miejscowa", Wojsko i sprawy zagraniczne. Sądownictwo, Samorząd, Kontrola Państwa. Uderza zestawienie w wspólnym rozdziale spraw wojskowych i zagranicznych. Wydaje się nam, że nie jest to rzeczą przypadku, że autor w ten sposób wyodrębnił te dwie grupy zagadnień państwowych. Powinny one bowiem mieć jedną cechę wspólną: obie te dziedziny powinny być jaknajbardziej uniezależnione od różnych doraźnych konjunktur politycznych, a przy kierowaniu nimi jedynym kryterjum powinno być polska „racja stanu".

Broszurka ta, która dotrzeć powinna do szerokiego ogółu, a znaleźć się powinna na półce każdej podręcznej bibljoteki nauczyciela czy ucznia, robotnika, urzędnika, rolnika czy rzemieślnika, świadczy też o tem, że autorytety prawdziwe i ludzie o szerokim horyzoncie myślowym potrafią udzielać swych skarbów wiedzy i doświadczenia nietylko drogą wielkich, uczonych prac, ale przemawiają równie dobrze do nas. St. R.

WIADOMOŚCI GOSPODARCZE

STANY ZJEDNOCZONE I ANGLJA JAKO WIERZYCIELE

Zagadnienie to obrazuje „Federated Press" w sposób następujący: Przegląd pożyczek zagranicznych, podpisanych przez amerykańskich i angielskich kapitalistów w okresie od 1920-go roku, wykazuje zmniejszenie się wpływów kapitału angielskiego na rzecz amerykańskiego kapitału finansowego. Wykaz ten został sporządzony przez Departament Han dlu Stan. Zjedn. Am. Północnej. Według statystyki wspomnianego Departamentu Amerykanie, w okresie ośmioletnim od 1920-go roku, poparli pożyczki zagraniczne na sumę 6.836.000.000 dol., wówczas, gdy suma udziału Anglików w tymże okresie wyniosła tylko 4.121.000.000 dol. Cyfry nowych inwestycyj finansowych, zagranicznych i krajowych, bardziej jeszcze uwypuklają przewagę amerykańskiego kapitału w wielu częściach świata. W okresie 1920—27 r. nowe dewizy w Stanach Zjednoczonych osiągnęły cyfrę 41 miljardów, wówczas, gdy Anglicy w tym czasie wykazać się mogą tylko 9 miljardami.

Przyjmując, że nowe akcje, sprzedawane w Stanach Zjednoczonych, przynosiły przeciętnie 5% rocznie — w takim razie przyniosły one amerykańskim kapitalistom, w omawianych latach, dochód roczny wysokości około 2 miljardów.

W walce konkurencyjnej między amerykańskim i angielskim kapitałem finansowym zwycięża pierwszy przedewszystkiem w Kanadzie i Ameryce Łacińskiej. W r. 1927 Anglja poczyniła inwestycje finansowe w Kanadzie na sumę 50 miljonów, Stany Zjednoczone z górą 268 miljonów. Angielskie inwestycje w Kanadzie przed wojną w r. 1913-ym, wynosiły przeszło 332 miljony. Inwestycje Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej osiągnęły w roku 1927-ym cyfrę 359 miljonów, wówczas, gdy angielskie spadły z 242 miljonów w r. 1913-ym do 118 miljonów w r. 1927. W Europie Stany Zjednoczone umieściły w tymże roku 1927-ym 571 miljonów, wówczas gdy Anglja tylko 130 miljonów. Najbardziej charakterystyczny jest spadek angielskich inwestycyj w Stanach Zjednoczonych: gdy w r. 1913-ym wynosiły one około 110 miljonów, to w roku 1927-ym nieco tylko przewyższyły 1 miljon.

MAJĄTEK NARODOWY STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ

Majątek narodowy St. Zjedn. Am. Półn. obliczają na 320.000.000.000 dol. Z danych statystycznych, zestawionych przez „Stone, Webster et Blodget", wynika, że od czasu 1850-go wzrósł on o 4400%.

W porównaniu z rokiem 1890-ym długość linij kolejowych wzrosła z 93.296 mil do 250.000 mil ang. Wartość wyrobów amerykańskich z 9.372.379.000 dol, podniosła się do sumy 62.700.000.000 dol.; płody rolnicze z 2.460.000.000 dol wzrosły do sumy 19.700.000.000 dol.; wywóz z 2.850.000.000 dol. do 4.870.000.000 dolarów.

Ludność w tymże czasie z 62.000.000 wzrosła do 117.136.000 głów przyczem prawie na każdego piątego mieszkańca St. Zjednoczonych przypada jeden automobil. W tymże okresie długi w Europie, wysokości 600.000.000 dol. zostały umorzone, wzamian czego powstał kredyt wysokości 14.000.000.000 dolarów.

RACJONALIZACJA PRODUKCJI W „MIEŚCIE AUTOMOBILI" — DETROIT

Organizację produkcji automobili w Detroit charakteryzuje umiejętność wydobycia niesłychanie szybkiego tempa pracy robotnika i maszyny. Różne są metody osiągania potrzebnej szybkości. Jednym z najbardziej praktycznych sposobów jest wywieszanie wykazów, obrazujących ilość pracy wykonanej przez poszczególnych robotników i zachęcających do organizowania między robotnikami konkursów pracy. Stosowany jest również system pracy akordowej dla całej kolumny robotniczej, aby jej członkowie wzajemnie pilnowali się, by praca ta wykonana została w jak najkrótszym czasie.

W fabrykach Forda, sławnych ze swej wyścigowej szybkości pracy, „wydział lutowania" zwiększył produkcję, w ciągu jednego roku, z 35 do 80 automobili na godzinę. W jednej z fabryk Fisher'a, która poprzed-

nio montowała dziennie 150 do 160 automobili, obecnie produkuje się dziennie 235 do 240 automobili przy tejże ilości robotników. **Wzrost produkcji nie idzie jednak w parze ze wzrostem zarobków robotniczych, szane.** Do redukcji zarobków przyczynia się przedewszystkiem, stosowany w coraz większej ilości fabryk. **zakaz organizowania się robotników,** zatrudnionych w tych fabrykach.

Według opinji pracowników najgorszym nadzorcą jest dla nich ich maszyna, której szybkość nie pozwala na chwilę nawet odwrócić uwagi od wykonywanej roboty.

ROZWÓJ BANKU NIEMIECKICH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

Wśród sprawozdań banków niemieckich spotykamy również sprawozdanie, za rok 1927, Banku Robotników, Pracowników i Urzędników w Niemczech. Bank ten powstał z wkładów i oszczędności zorganizowanej zawodowo klasy pracującej i jedynie te kapitały były podstawą jego rozwoju. Przyjrzyjmy się bilansowi. Obrót dosięga sumy 1350 miljonów marek, która to suma jest bardzo poważna w porównaniu z niskim kapitałem akcyjnym. W stosunku do roku poprzedniego, 1926-go, obrót się podwoił, w porównaniu zaś z rokiem 1925-tym, trzykrotnie powiększył. W roku powstania banku, 1924, suma obrotu wynosiła tylko 175 miljonów marek. Podczas gdy kapitał akcyjny nie ulega zmianie, od roku 1925-go wynosi 4 miljony marek, suma wpłat na fundusz rezerwowy wynosi 0,450 miljonów marek — w grudniu 1927 r. suma rezerw wynosiła 0,650 miljonów marek, wówczas gdy w roku poprzednim tylko 0,200 miljonów. Wkłady wzrosły również o z górą 100%: z 36 miljonów w roku 1926-ym, do 79 miljonów. Najbardziej podniosła się suma wkładów terminowych. Wpłacają przeważnie związki zawodowe, kooperatywy i inne organizacje robotnicze. Z wpłat tych powstały kredyty w sumie 42 miljonów, w roku 1926-ym tylko 16 miljonów. Z kredytów korzystają głównie spółdzielnie spożywców, budowlane i mieszkaniowe, a również i państwo niemieckie. Rachunek papierów wartościowych i udziałowców wzrósł z 3,63 miljonów w roku 1926, do 6,30 miljonów; kasa i wierzytelności wykazywały w końcu roku stan 60,7 miljonów w porównaniu z 17,5 miljonami w r. 1926-tym.

Rachunek strat i zysków wykazuje zysk brutto w sumie 2 miljonów w porównaniu z 1,5 miljona w r. 1926. Zwiększenie się kosztów handlowych wynosi 520,000 marek. Czysty zysk określa się sumą 903,875 marek, z której to sumy wypłacona zostaje dywidenda wysokości 10%, podobnie jak w roku ubiegłym. Wzrost czystego zysku od chwili założenia banku obrazuje następująca tabelka:

1924 r.	— 139,533 mk.
1925 r.	— 200,953 mk.
1926 r.	— 979,026 mk.
1927 r.	— 903,875 mk.

Daje się zauważyć dość znaczny wzrost kosztów handlowych. W roku 1924-ym wynosiły one 80,500 mk.; w r. 1925-ym — 306,463 mk.; w r. 1926-ym—616,901 mk., w r. 1927-ym — 1,139,332 mk.

Do banku należą warsztaty motocyklowe „Lindcar" oraz większość akcyj Hanowerskiego Banku Rolniczego w Hildesheim.

WALKA O PRODUKTY ROLNICZE W ROSJI

Mianowany przed kilku miesiącami komisarz ludowy do spraw rolnych, Kubiak, ogłosił swoje pierwsze sprowozdanie. Miał on nieograniczone pełnomocnictwa dla wprowadzenia w życie następujących zadań: 1) Organizowanie gospodarstw zbiorowych, komun rolnych, dla podniesienia niskiego poziomu gospodarki rolnej. 2) Pobudzanie chłopów do zasiewania możliwie dużych obszarów. 3) Zgromadzenie odpowiednich zapasów zboża po zbiorach wiosennych, aby potrzeby miast zostały zaspokojone. W sprawozdaniu swem Kubiak wykazuje, że mimo największych wysiłków zapasy rządowe są mniejsze o 1,800,000 tonn od ilości, wymaganej dla pokrycia zapotrzebowania. Zbiory zmniejszają się wciąż, a urzędom państwowym z trudem uda się skupić 820,000 tonn niezbędnego minimum dla zaspokojenia potrzeb miast w miesiącach czerwcu, lipcu i sierpniu. Z ogłoszonych cyfr wynika, że wywóz zboża z kraju przestał być środkiem poprawy finansów państwa. W lutym ilość eksportu spadła do 6,000 tonn, gdy w roku poprzednim wynosiła 241,000 tonn. Podczas pierwszych pięciu miesięcy bieżącego roku podatkowego (październik 1927 r. — luty 1928 r.) rząd rosyjski był zmuszony znaczne zapasy nabiału, ryb i wędlin, przeznaczone dla zaspokojenia potrzeb miast rosyjskich, wywieźć zagranicę. Mimo to osiągnął rząd tylko 125,000,000 dolarów w porównaniu ze 156,000.000 dol. dochodu, osiągniętemi w ciągu takiegoż okresu czasu w roku poprzednim. Władze miejscowe coraz częściej uciekają się do konfiskaty zboża w takich rozmiarach, że Bucharin określa ten środek jako „szkodliwy i niebezpieczny". W końcu swego sprawozdania Kubiak podkreśla, że przymusowe organizowanie t. zw. ferm kolektywnych, co w niektórych prowincjach obejmuje do 29% obsianej ziemi, budzi w chłopach chęć do wojny domowej.

J. Strasz.

Prosimy naszych czytelników, aby podali nam adresy swych znajomych, którym prześlemy nasze pismo.

CENA OGŁOSZEŃ:

Nadesłane (1 strona) zł.	800.—
1 strona zwykle . . „	600.—
1/2 „ . . . . . „	320.—
1/4 „ . . . . . „	175.—
1/8 „ . . . . . „	90.—

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy Swiat 21, tel. 258-53.
Konto P. K. O. — 13.044

CENA PRENUMERATY:

Rocznie . . . . . zł.	18—
Półrocznie . . . . „	6—
Kwartalnie . . . . „	4.50

Pod redakcją *Jerzego Szuriga* Redaktor odp.: *Jan Zimosz*

Druk „Kadra", Długa 50. tel. 186-30.